

ATTENTROLL

Henryk Heine.



ATTA TROLL.

SEN NOCY LETNIEJ.

Przełożyła z oryginału niemieckiego

Marya Konopnicka.

Motto:

Z namiotu, eo tam lęgnąc biała stol,
Szedł czarny ksiądz w bojowej zbroi;
Tak z srebrnej cunury lęgnących podwoi
Zacmłony księżyc wchodził i stoi...
„Krol Negrów” Ferd. Freiligrath’a.



WARSZAWA.

Teodor Paprocki i S-ka.

1887.



497-zb. 3

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Мая 1887 года.

Postać Henryka Heinego, szczegóły jego życia i twórczości, są, dzięki licznym studjom i przekładom, dobrze znane naszemu ogółowi. Wskutek tego redakcyja uważa za stosowne, zamiast dołączania do niniejszego, pierwszy raz na język polski przelożonego poematu—nowej biografii autora, przytoczyć następującą krótką, lecz jędrną, wyrazistą i—co najważniejsza — bezstronną charakterystykę twórczości Heinego pióra znakomitego historyka literatury d-r'a Jana Scherr'a (Historya Literatury Powszechnej, przekład Br. Zawadzkiego 1881—1883, tom II, str. 528—531).

W Henryku *Heinem* (ur. d. 13 grudnia 1799 r. w Düsseldorfie, zm. d. 27 lutego 1856 roku w Paryżu) romantyzm strawił samego siebie.

W pieśniach jego odzywa się on raz jeszcze swojemi najśłodszymi tony—nigdy duch katolicki romantyzmu nie wyraził się czulej i głębiej, jak w Heinego: „Pielgrzymce do Kevlaaru” i w cudownym obrazku z morza północnego: „Pokój” — aby potem nagle przeskoczyć w szorstki zgrzyt niemiłosiernego wyszydzenia samego siebie. Prawdziwie romantycznym rysem pozostało u Heinego nieokreślone wyusdanie genialnej indywidualności, z jakim w jednej chwili humanistyczny ideał wszystkimi blaskami poezyi i ducha wypromienia, aby za chwilę wymagać go błazeńskim biczkiem, oplwać sarkazmem, osmarować błotem. Czém Byron dla europejskiej, tém był Heine dla niemieckiej literatury. „Dzwonił on swojej epoce na pogrzeb i zwiastował nową, nieczém nie skrepowaną, brutalnie ludzką, której rozkosze obracał na użytek swoich genialnych upodobań.” Dążność jego, skierowana ku intelektualnemu i społecznemu wyzwoleniu jednostki, musiała postawić własne „ja” poety w centrum świata, musiała skłonić go do wzniesienia prawa jednostki nad prawo ludzkości. I dlatego zajmowanie się poety tą ostatnią ukazuje się raczej w świetle po mistrzowsku wykonanych scen kokieteryi, aniżeli przekonania i natchnienia. Ponieważ jednak przed dowieciem, tą najistotniejszą właściwością Heinego, własne „ja” nie bywa nigdy bezpiecznym, przeto i tym razem zostało ono porwanem w bachancki taniec złośliwych obserwacyj nad światem i splonęło wkońcu ze wszystkiemi innemi na uśmiechniętym stosie, na którym poeta spalił pokłoił dawną religię, dawne państwo i dawną społeczność. Pierwsze utwory Heinego, tomik poezyi,

tudzież tragedye: „*Almanach*“ i „*Ratcliff*“ (1823) przeszły niepostrzeżone; dopiero „*Reisebilder*“ (1826) i „*Buch der Lieder*“ otworzyły nową epokę. *Reisebilder* (4 tomy) szukały na wszystkich przestworach bytu wyzwolenia zpod starych powag i sformułowały ideę „nikczemności wszystkich stosunków współczesnych.“ W dziele tém krytyka przybiera szatę poezyi i stanowi w téj formie — obok byronowskiego Don Żuana — „kodeks rozkładu.“ Wrażenie „*Obrazów z podróży*“ podniósł niezmiernie styl ich. Proza niemiecka, wskutek niewolniczego naśladownictwa wzorów Goethego, wielce była ociężała i skrzepła. Börne zaczął roztopiać tę chłodną masę swoim językiem jeanpaul'owskim, ale dopiero Heine nadał jej znowu naturalną płynność. Ta świetna gra antytez, ta kokieterya nagłych przeskoków, te urwane zdania, rostrzęsione niedbale, a za chwilę wiążące się w okresy o doskonałym zaokrągleniu i ścisłej formie, to gorączkowo mieniające się światła i cienie, ten pozorny chaos i rzeczywistość harmonia, ten śpiew, w którym fletnia miłosna brzmi tak miękko i rzewnie, jak puzon gniewu groźnie i piorunująco — to wszystko musi oszołomić, zająć, porwać i ujarzmić. O poecie „*Pieśnioksięgu*“ powiedzić można to, co on sam w „*Obrazach z podróży*“ powiedział o Matyldzie: „Są serca, w których żart i powaga, szatan i anioł, żar i chłód tak się dziwaczuje jednoczą, że niepodobna ich osądzić.“ Serce takie tkwiło w piersi Matyldy; czasem bywa to skrzepła wyspa lodu, z którego gładkiej powierzchni tęsknie strzelały płonące żarem lasy palmowe, czasem bywa to znowu wulkan zapалу ognisty, przysypany nagle uśmięchniętą lawiną śniegu.“ Liryczne ukształtowanie tych kontrastów i sprzeczności w napozór bezładnej, w rzeczywistości jednak skończonej artystycznej formie w „*Księdze pieśni*“ jest właśnie najwyższą chwałą poety, dziełem wielkiego liryka. Heine tworzył, jak żaden inny poeta, z najgłębszej istoty czasu, i dlatego „*Księga pieśni*“ jest poetycznym czynem równie doniosłości, jak „*Werther*“ Goethego i „*Zbójcy*“ Szylera.

Od r. 1830 żył Heine we Francyi, której stosunki odmalował w „*Französische Zustände*.“ Niesmaczne to dzieło dla swój politycznej bezbarwności; jeszcze niesmaczniejszą wszakże jest monografia Heinego o Bürnem, w której napróżno usiłował śniewatyć mogiłę; najwstrętniejszym zaś zbiór szkiców z Paryża p. t. *Lutetia*. Trąca one błotem; należy wszakże podziwiać bystrą obserwacyę i przenikliwy sąd Heinego; gdy się przeziéra dzisiaj jego „*Lutetia*“, cochwila napotyamy zdania i proroctwa, które z podziwu godną ścisłością sprawdziły się w r. 1870—1. W czterech tomach: „*Salonu*“ zgromadził poeta rozproszone swoje publicystyczne prace i nowelle. Do najcelniejszych należą: „*Noce florenckie*“, żałować należy, iż niektóre nłami (jak np. „*Rabin z Bacharach*“) nie doczekały się uzupełnienia. Uwagi o niemieckiej umiejtności, tudzież artykuły, jak: „*Romantische Schule*“ albo „*Schwabenspiegel*“, są tylko fajerwerkami. Wreszcie „*Nowe poezye*“ (1841), jakoteż obydwie większe poemata humorystyczne: „*Atta Troll*“ (1843) i „*Deutschland, ein Wintermärchen*“ (1844) raz jeszcze błysnęły najświetniejszymi przy-

miotami maniery Heinego—najzuchwałej z nich „Powieść zimowa,“ korona jego całej poezji. Szczególniej silnie zaakcentowała się w niej panteistyczna negacya chrześcijańskiego dualizmu pomiędzy światem tutejszym i zaziemskim; stary ulubiony temat Heinego: przywrócenie praw zmysłowości wobec chrześcijańskiego spirytualizmu, rozwija się tu w dytyrambowych dźwiękach. „Romancero“ (1851), którym poeta pożegnał się z publicznością, powtarza stare już tylko barwy i tony, ale znacznie wybladłe i zwątlale. W literackiej spuściznie poety są dowody, iż na łożu długoletniej ciężkiej choroby znalazł jeszcze od czasu do czasu porzywający akord liryczny w piersiach. Glossy poetyczne, któremi zaopatrzył wypadki niemieckiej rewolucyi z r. 1848, mieszczą rzeczy najzuchwalsze, jakie satyra niemiecka stworzyć się odważyła. Zresztą, byłoby błędem przypuszczać, że morderczy fajerwerk heinowskiego dowcipu miał skutek przejściowy hałaśliwej rakiety. W tej rozkoszy niszczenia, przy której fanfarach sfinks romantyki, rozwiązując własną zagadkę, rzucił się w przepaść, tkwiła i moc twórcza. Heine należał do największych satyryków na urzędownie zatwierdzone formy społeczne, jakich od czasów Arystofanesa, Cerwantesa, Rabelais'a i Swifta świat wydał; obudził on wszakże zarazem tęsknotę za innym ustrojem społecznym.

PRZEDMOWA AUTORA.

„Atta Troll” powstał w późnej jesieni 1841 r. i ukazał się we fragmentach w „*Elegante Welt*,” kiedy przyjaciel mój Laube nanowo redakcyę jego objął. I treść i zakrój poematu stosowane być musiały do umiarkowanych potrzeb tego dziennika; pisałem tedy naprędce te tylko rozdziały, które w nim drukowane być mogły, a i tak jeszcze podlegać one musiały niejakim zmianom. Trwałem wprawdzie zawsze w zamiarze wydania kiedyś całości w późniejszym uzupełnieniu, ale rzecz pozostała w fazie godnego pochwały przedsięwzięcia i tak, jak wszystkie wielkie dzieła Niemców, jak katedra kolońska, Bóg Schellinga, konstytucya pruska i t. p., nie była wykończona. W takiej to niewykończonej postaci, cokolwiek tylko wygładzoną i zokrągloną zewnątrz, daję ją dziś publiczności, posłuszny naciskowi, który, naprawdę, nie z wewnątrz pochodzi.

„Atta Troll” powstał, jak to powiedziałem wyżej, w późnej jesieni 1841 r., w czasie, kiedy wielkie sprzysiężenie, w którym wszyscy moi nieprzyjaciele przeciw mnie się uzbrowili, nie wybuchło jeszcze w zupełności. Była to wielka rewolucya i nigdy nie przypuszczał, aby ziemia niemiecka tyle zgnitych jabłek rodziła, ile mi ich wtedy na głowę rzucono! Ojczyzna nasza jest błogosławionym krajem; nie rosną w niej wprawdzie złote cytryny, ani pomarańcze, laur nawet z trudnością przyjmuje się na niemieckim gruncie, ale zgniłe jabłka obradzają rokrocznie w najbardziej pożądaney obfitości i każdy z naszych wielkich poetów umiał o nich piosenkę zanućić. Podczas owego to sprzysiężenia, w którym utracić miałem głowę i koronę, nie straciłem ani jednej, ani drugiej, a niedorzeczne zarzuty, któremi usiłowano ogół przeciw mnie podburzyć, upadły najhaniebniej same przez się, chociaż nie zadałem sobie nigdy trudu odpięrania ich. Sam czas podjął się obrony mojej, a także odnośne rządy niemieckie, wyznać to muszę z wdzięcznością, zasłużyły mi się niezmiernie w tym względzie. Rozkazy uwięzienia, które, od niemieckiej granicy począwszy, na każdej stacyi oczekiwały z tęsknotą na powracającego poetę, odnawiane bywały rokrocznie około świąt Bożego Narodzenia, kiedy na choinkach niemieckich zapalają się błogie światełka. Z powodu tak niepewnych dróg powrotna podróż w paszczę niemiecką

stała się dla mnie prawie niepodobną; dlatego to obchodzą u niej „gwiazdkę“ na obczyźnie i na obczyźnie też, jako wygnanica, prawdopodobnie dni moje zakończy. Dzielni zaś bojownicy o światło i prawdę, którzy mi zarzucali samolubstwo i chwiejność przekonań, przechadzają się tymczasem w ojczyźnie zupełnie bezpieczni, jako dobrze uposażeni urzędnicy, albo też jako stali goście klubów, gdzie się w wieczór orzeźwiają patryotycznie sokiem z winnic ojczystego Ronu i ostrygami z oblanego morzem Szlezwig-Holsztynu ¹⁾).

Niedaremnie zaznaczyłem na początku, w jakiej epoce powstał „Atta Troll.“ Kwitnęła wtedy w całej pełni tak zwana poezja polityczna. Opozycja, jak mówi Ruge, sprzedawała własną skórę i stawała się poezją. Muzy odebrały surowe napomnienie, aby się odłączyły od próżniaku nie ważyły walcować, ale weszły w służbę ojczyzny, jako markietanki wolności, albo jako praczki chrześcijańsko-germańskie i narodowości. Podniósł się wówczas na parnacie niemieckim ów pusty, bezpłodny patos, ów bezużyteczny entuzjazm, który — gardząc śmiercią — rzucił się w ocean powszedniości, a który mi zawsze przypominał owego majtka amerykańskiego, co takim był dla generała Jacksona przejęty uwielbieniem, że pewnego dnia ze szczytu masyżu skoczył w morze, wołając: „Umięram za generała Jacksona!“ Tak jest: chociaż my Niemcy nie posiadaliśmy jeszcze wówczas żadnej floty, mieliśmy przecież wielu majtków, którzy umierali za generała Jacksona — wierszem i prozą. Talent był wówczas darem zdradzieckim, gdyż sprowadzał podejrzenia o brak charakteru. Chciwa rozgłosu niemoc wynalazła nareszcie po tysiącioletnim szperaniu wielką swoją broń przeciw zuchwałstwu geniuszów, wynalazła mianowicie antytezę talentu i charakteru. Było to prawie osobiście pochlebne dla tłumu, kiedy słyszał twierdzących, że ucziwi ludzie są wprawdzie zazwyczaj lichymi muzykami, ale zato dobrzy muzycy nie są zwykle niezmiernie, jak ucziwymi ludźmi, a przecież główną rzeczą na świecie jest ucziwość, a nie muzyka. Pusta głowa biła się teraz całym prawem w swe pełne serce, a sposób myślenia był atutem. Przypominam sobie z owych czasów jednego literata, który poczytywał to sobie za szczególną zasługę, że nie umiał pisać; za swój drewniany styl otrzymał on srebrny puchar honorowy.

Na wszystkie bogi! wtedy opłacało się przekraczać niewzruszone prawo ducha, przynajmniej w poezji. Ponieważ zaś takie przekraczanie było zawsze wielką sprawą mego życia, przeto ślady jego przed oczy wasze stawiam chociaż w poemacie, który tak w formie, jak z treści był protestem przeciw plebiscytowi trybunów dnia. Prawdą mówiąc, już pierwsze fragmenty „Atta Trolla,“ jakio się ukazały w druku, poruszyły zółc moich bohaterów charakteru, moich Rzymian, którzy mnie obwiniali nie tylko o literacką heretykę, ale także o reakcję społeczną, a nawet o wzgardę i sponiewieranie najświęt-

¹⁾ „Schlezwig-Holslein meerumschlungen,“ znana pieśń patryotyczna niemiecka.

szych uczuć ludzkości. Co się tyczy estetycznej wartości mego poematu, chętnie przyznałem im słusność, a i dziś jeszcze uczynić to jestem gotów; pisałem go dla własnej uciechy i rozrywki w różnobarwnej i różnenniej formie owęj romantycznej szkoły, w której przeżyłem najpiękniejsze lata młodości mojej i w której nareszcie odczytałem samego nauczyciela. Pod tym względem poemat mój jest — może do odrzucenia. Ale kłamiesz, Brutusie, kłamiesz, Kassyszu, kłamiesz i ty, Asiniuszu, kiedy twierdzicie, że szyderstwo moje trafia w te idee, które są skarbem ludzkości, hasłem jej uniesień, za które ja sam tyle walk stoczyłem i tyle cierpiałem. Nie, właśnie dlatego, że idee te w całej swojej wielkości i czystości objawiają się duchowi poety, chwytą go nieprzeparta żądza śmiechu, kiedy widzi, jak grubo, nędznie i głupio pojmowane być one mogą przez ograniczoną współczesność. Żartuje on sobie wtedy obojętnie z ich doczesnej skóry nigdźwiedzić. Są zwierciadła, które oszlifowane zostały w ten sposób, że nawet Apollo odbija się w nich jako karykatura i do śmiechu zmusza. Wszakże śmiejemy się wówczas z przekształconego obrazu — nie z boga.

Jeszcze słowo. Czyliż potrzeba osobnego zastrzeżenia, że parodia poematu Freiligratha, która tu i owdzie w „Atta Trollu” swawolnie przegląda i podobny mu podkład swego komizmu wytwarza, nie jest bynajmniej oznaką lekceważenia tego poety? Cenię go wysoko, zwłaszcza teraz, i liczę do najprzedniejszych poetów, którzy się od rewolucyi lipców w Niemczech pojawili. Pierwszy zbiór jego poezyj późno mi się do rąk dostał, mianowicie wtedy właśnie, kiedy powstał „Atta Troll.” Leżało to zapewne w mojem owoczesnem usposobieniu, że murzyński książę oddziaływał na mnie tak rozweselająco. Utwór ten wszakże należy do najudatniejszych. Dla czytelników, którzy poematu tego nie znają, a mogą się znaleźć tacy w Chinach i Japonii, jak również nad Nigrem i nad Senegalem, dla tych tedy czytelników zaznaczam tutaj, że czarny książę, który na początku poematu jak samotny książę z białego namiotu wychodzi, posiada taką czarną kochankę, nad której ciemnem licem chwieją się białe pióra strusia. Ale książę rycersko ją rzuca, ciągnie na bój, gdzie brzmi bęben, obwieszony czaszkami wrogów, i — ach! — znajduje tam swoje Waterloo i przez zwycięzców zostaje sprzedany białym. Biali uprowadzają salachetnego Afrykanina do Europy, gdzie znajdujemy go w usługach wędrowniej trupy koźnojeźdźców, w której ma powierzone sobie bębnienie wczasie przedstawienia. I oto stoi posępny i groźny u wejścia na arenę i bębni, a bębniąc, myśli o dawniej wielkości swojej, o tém, jak był samowładnym monarchą nad dalekim, dalekim Nigrem, jak polował na lwy, na tygrysy...

„I oczy mu zwilgły, i z ust wybiegł jęk,
Tak w bęben uderzył, że ten z trzaskiem pękł.”

Pisano w Paryżu, w grudniu 1846 r.

Henryk Heine.

ATTA TROLL.

SEN NOCY LETNIÉJ.

Rozdział 1.

W ciemnym dzikich skał pterścieniu,
Co się hardo pną w niebiosy,
Szumem kaskad kołysane,
Leży, niby obraz senny,
Cauterets. Bieluchne domki,
Na balbónach piękne panie
Stoją, śmiejąc się serdecznie,
I wśród śmiechu patrzą na dół,
Na pstry, gwarny rynek miejski,
Tam, gdzie niedźwiedz z niedźwiedzicą
Przy odgłosie bębna tańczą.
Atta Troll i jego żona,
Tak nazwana Czarna Muma,
Tańczą oto ku uciesze
I zdziwieniu Baskijczyków.
Jak dostojnie i jak dumnie
Płasa dzielny Atta Troll!

Ale jego pięknej żonie
Brak godności i powagi.
Tak jest. Trudno mi to ukryć,
Że jej taniec był lubieżny,
Że ruchami zalotnemi
Przypominał Grande-Chaumière.
To też dzielny ten niedźwiednik,
Co ją trzymał na łańcuchu,
Zawstydzony obserwował
Tańca Mummy niemoralność
I od czasu ją do czasu
Napominał śmigłym biczem,
A ryk Mummy przeraźliwy
Budził wtedy echa skalne.
Sześć posążków miał niedźwiednik,
Na śpiczastym kapeluszu,
Które głowy jego strzegły
Od kul wroga i robactwa,
A na barkach mu wisiała
Pstra kápica, szmat kościelny,
Który teraz za płaszcz służył,
Kryjąc nóż i pistolety.
Dobry brat był niegdys mnichem,
Potém hersztem szajki łotrów,
Więc, by złączyć oba fachy,
Wszedł w usługi don Carlosa.
Gdy don Carlos musiał zmykać
Z całym swym okrągłym stołem,
Wielu z jego paladynów
Za rzemiosło się chwyciło.
Pan Sznaphański autorem,
A nasz zbożny rycerz został

Niedźwiednikiem i za chlebem
Z Atta Trollem szedł i Mumą
I obojgu tańczyć kazał
W rynkach miejskich, wobec tłumów.
I tak w rynku, w Cauterets,
Tańczy jeniec Atta Troll,
Atta Troll, ten, który niegdys
Księciem był najdzikszój puszczy,
Na swobodnej gór wyżynie; —
Tańczy teraz przed motłochem
Za grosz nędzny. Tak, za pieniądź
Tańczyć musi on, co niegdys
W groźnym swoim majestacie
Czuł się panem téj krainy!
Kiedy wspomni młode lata
I stracony tron wolności,
Wtedy groźne, mroczne dźwięki
Płyną z piersi Atta Trolla,
I jak murzyn Freiligrath'a
Chmurno patrzy dookoła,
I jak tamten lichy bębnił,
Ten—źle tańczy, z nienawiści:
Przecież, zamiast łzy współczucia,
Śmiech wywołał. Nawet Julia
Na swym śmieje się balkonie
Z desperackich jego skoków.
Julia! O, ta nie ma w łonie
Tkliwych uczuć, jest francuzką
I na zewnątrz tylko żyje.
Lecz zewnętrzność jój jest śliczna!
Jój spojrzenia się krzyżują,
Jak sieć światła, w której węzłach

Mężkie serca, niby rybki
Ułowione, się trzepoczą...

R o z d z i a ł II.

Że murzyński czarny ksiązę
Freiligrath'a z taką bębnił.
Wściekłą, gniewną melancholią,
Że aż w bębnie skóra pękła,
To jest bębno-wzruszającym,
Powiem nawet, bębno-wzniosłym...
Ale bardziej wzruszająca,
Gdy się niedźwiedź z pęt swych wyrwie.
Gwar, muzykę, żarty, śmiechy,
Wszystko w jeden krzyk wybucha,
Przerażona gawiedz pierzcha,
Na balkonach bledną damy.
Tak z łańcuchów swego jeństwa
Nagle wyrwał się na wolność
Atta Troll i w dzikich skokach
Przez zaułki wąskie pędził.
Wszyscy dwornie ustępują,
Atta Troll dosięga skały,
Rzuca w dół spojrzenie wzgardy
I w ojczystych górach znika.
A na pustym rynku stoi
Opuszczona Czarna Mama
I niedźwiednik, który wściekle
Na bruk cisnął swój kapelusz.

Cisnął — i Madonny na nim
Depcze wściekle; potem zrywa
Płaszcz z nagości swojej wstrętnój,
Klnąc niewdzięczność czarną świata,
Brak wdzięczności u niedźwiedzi.
Wszak on tego Atta Trolla
Miał za brata, przyjaciela!
On go tańca sam wyuczył,
Niedźwiedź wszystko mu był winien,
Życie nawet! Wszak za skórę
Sto talarów mu dawano,
Za tę skórę Atta Trolla,
A nie sprzedał przecież skóry!
Więc na biedną Czarną Mumę,
Co, jak obraz cichój troski,
Na dwóch tylnych łapach stała
Przed swym władcą rozszroczonym,
Gniw najwyższy wyrzecz raczył,
We dwójnasób ciężko bijąc
I królową zwąc Krystyną,
Panią Munoz i Putaną...
Wszystko to się stało w ciepłej,
Przedwieczornój dnia godzinie,
A noc, co po dniu tym przyszła,
Była cudną nocą letnią.
Do połowy ją strawiłem,
Piękną noc tę, na balkonie,
Przy mnie Julia moja stała
I patrzyła w gwiazdy złote.
„Ach!” — z westchnieniem lekkim rzekła, —
„Ach! w Paryżu, tam są gwiazdy

Najpiękniejsze, kiedy zimą
Lśnią, odbite w ulic błociał

R o z d z i a ł III.

Letniej nocy sen!.. Kapryśna,
Bezelowa jest pieśń moja,
Tak jak miłość, tak jak życie,
Tak jak Stwórca i stworzenie...
Własnej tylko patrząc woli,
Pędzi ziemią, wichrem leci
I w krainę cudów wpada
Mój Pegazus ulubiony.
Nie jest on cnotliwą szkapą,
Co mieszczańskie ciągnie wozy,
Ni podjezdkiem obozowym,
Co rzy wzniosłe w duchu partyi.
Z złota kute ma podkowy
Konia mój biały i skrzydlaty;
Sznury pereł ma za uzdę,
Które wolno mu opuszczam.
Nieś mnie, koniu, gdzie ci wolał
Na powietrzne, górskie szlaki,
Gdzie kaskady, szemrząc trwożnie,
Od przepaści stopy strzegą.
Na doliny nieś mnie ciche,
Tam, gdzie szumią dęby stare,
Z pod korzeni sącząc krętych
Słodkie źródło starych baśni.

Tam mi pić daj! tam mi obmyj
Oczy senne... Ach, już piję
Żywą wodę, która czyni
Wszzechwidzącym, wszzechwiedzącym,
I ślepotę każdą spędza...
Ach, już wzrok mój bystry dostrzegł
Atta Trolla skalną jamę,
Już rozumiem jego mowę!
Dziwna, jak mi swojsko w uchu
Brzmi ten język niedźwiedziowy!
Miałebym w ojczyźnie drogiej
Słyszec niegdyś już te dźwięki?

R o z d z i a ł I V .

Ronsewalska ty dolino!
Kiedy słyszę imię twoje,
Drży i w sercu wonią dyszy
Dawnych dziejów kwiat błękitny.
Jasny marzeń świat powstaje,
Co przed lat tysiącem runął,
A ogromne oczy ducha
Patrzą na mnie przenikliwie.
Zgiełk i wrzawa! Oto walczą
Saraceny i Frankowie,
Krwawo brzmi tam róg Rolanda,
Rozpaczliwém brzmi wołaniem. —
Tam, w dolinie Ronsewalu,
Przy wylomie Rolandowym,

Co od tego wziął nazwanie,
Że wódz, drogę sobie czyniąc,
Tak potężny cios wymierzył
W skalną ścianę, iż ślad ciosu
Do dziś widną szramą świeci;
Tam, w zawale dzikich głazów,
Co porosły gęstym bukiem
I jedliną czarną, leży
Ciemna jama Atta Trolla.
Tam na łonie swój rodziny
Wypoczywa on po trudach
I uciezki i tych wypraw,
W których poznał świat i ludzi.
Błoga chwilo! Młode swoje
Znalazł w owój drogiój jamie,
Kędy Muma je zrodziła, —
Czterech synów i dwie córki.
Wylizane niedzwiedziczki,
Obie blond, jak pastorówny;
Chłopcy ciemni, i najmłodszy
Tylko — czarny „Jednonszek”
Ten najmłodszy był pieszczochem
Matki, która z nim igrając
Kiedyś, ucho mu odgryzła
I pożarła je z miłości.
Był młodzieniec to genialny,
W gimnastyce wielce biegły,
A na drzewa laził tak zręcznie,
Jak na słupy sam mistrz Massmann.
Wykwit swojskiej edukacji,
Kochał tylko ojców mowę
I czuł wstręty do żargonu

Starych Rzymian i Hellenów.
Dzielny, wolny, niezależny,
Nienawidził wszelkich mydeł;
Nowoczesny zbytek prania
Obcy mu, jak Massmannowi.
Geniusz jego się objawia
Zwłaszcza, gdy na sosnę lézie,
Co z najgłębszej skał przepaści
Wzdłuż szczeliny w górę śmigła
I dosięgła aż do szczytu,
Kędy nocą gniazdo całe
Igra z ojcem swoim starym,
Pieszcząc się z nim w lubym chłodzie.
Chętnie wówczas stary gwarzy
O tém, co na świecie zaznał,
Jak to wiele miast i ludzi
Widział i jak przeniósł wiele,
Ze szlachetnym Læertydem
W tém się tylko różniąc nieco,
Że miał żonę towarzyszką,
Czarną swoją Penelopę.
Chętnie także opowiadał,
Jak niezmierne powodzenie
Między ludźmi zyskał sobie,
Jako tancerz doskonały.
Starzy, młodzi — wszyscy klaszcząc
Podziwiali jego gracyę,
Gdy na rynku tańczył miasta,
Przy najśłodszych kobzy tonach.
A szczególniej młode damy,
Te znawczyni wdzięku tkliwe,
Biły mu szalone brawa

I mrugały nań zalotnie.
O, ty żyłko artystyczna!..
Smętnie duma niedźwiedź stary
O dniach chwaty, gdy publiczność
Podziwiała talent jego,
I wspomnieniem uniesiony,
Dziatwie dowiesć chce natychmiast,
Że nie nędznym samochwałcą,
Ale wielkim jest artystą.
Więc się w nagłym skoku zrywa,
I na tylnych łapach staje,
I jak niegdyś tańczy z gracyą
Ulubione swe gawoty.
Milcząc, z nosy wytkniętymi
Patrzą młode niedźwiedziąta
Na ojcowskie dziwne skoki
Tu, to tam — w księżycu blasku.

R o z d z i a ł V.

Wśród rodziny, w jamie ciemnej,
Leży Atta Tróll na grzbiecie
I w zadumie ssie swe łapy,
Ssie swe łapy i tak mruczy: —
„Mumo! Mumo! czarna perło,
Którą-m w wielkiem morzu życia
Złowił był i którą-m w wielkiem
Morzu życia znów utracił!
Czyż cię nigdy znów nie ujrzę?

Czy też ujrzę cię za grobem,
Gdzie od ziemskich kudłów wolna,
Dusza twoja się spromieni?
O! jakżebym pragnął jeszcze
Choć raz liznąć nos twój luby,
Nos méj Mumy, co tak słodko
Umazany bywał miodem!
O! jakżebym chciał oddychać
Miłą, lubą Mumy wonią,
Wonią czarnej mojej Mumy,
Słodsza, niżli zapach róży.
Ale Muma moja więdnie
W pętach tych okrutnych zwierząt,
Co się ludźmi nazywają
I panami świata mienią!
Śmierć i piekło!.. Ci to ludzie,
Ci arcy-arystokraci,
Patrzą na królestwo zwierząt
Z wzdargą i szlachecką pychą!
Żony biorą nam i dzieci,
Więżą nas, mordują, męczą,
Aby tylko zabrać w zysku
Naszą skórę, nasze zwłoki!
I czują się jeszcze w prawie
Tych występków się dopuszczać
Przeciw nam, niedźwiedzim czarnym,
I zowią to „ludzkiem prawem!”
Ludzkie prawa! ludzkie prawa!
Któż to im je nadał, proszę?
Nie natura. Ona gwałtu
Sama sobie nie zadaje.
Ludzkie prawa!.. Któż wam dał je,

Owe sławne przywileje?
O zaprawdę, że nie rozum,
Bo on nie jest bezrozumny!
Ludziel czy wy przez to lepsi,
Niżli my, że wasza strawa
W garnkach wre, na roznach skwierozy,
A my naszą rwiem surową?
Wszakże w końcu rezultaty
Są jednakie. Nie uszlachci
Was potrawa! Ten szlachetny,
Kto szlachetnie czuje, żyje!
Ludziel czy wy przez to lepsi,
Że kształcicie się w naukach,
Oraz w sztuce? I nas przecie
Nikt nie walił po ciemieniu!
Czy to niema psów uczonych?
Niema koni, co rachują
Jak referent? Czy zające
Nie umieją bębnić przednio?
Czyż się bobry nie wślawiły
Tu i tam w hydrostatyce?
Czy bocianom nie zawdzięcza
Wynalazku świat klistery?
Czyż nie piszą osły krytyk?
Czyż na małpach zbywa scenie?
Miała-ż Roma większych mimów,
Jak Batawii morskie koty?
Czyż tenorem nie jest słowik?
Czyż Freiligrath nie poeta?
Kto lwów sławę wdzięczniej wydał,
Niżli wielbłąd, jego ziomek?
Czyż-em sam nie doszedł w tańcu

Tak wysoko, jak w piśnieniu
Raumer? Czyż on lepiej pisze,
Niż tańczymy my, niedźwiedzie?
Ludzie, czém wy od nas wyżsi?
Głowę macie wprowadzić w górze,
Lecz w téj głowie podniesionój
Jakże nizko myśl wam pełzał
Ludziel czy wy przez to lepsi,
Niż my reszta, że was skóra
Gładka kryje? Tę przewagę
Wszak musicie z wężem dzielić.
Ludziel! Wy, dwunożne gady!
Ach, pojmuję teraz, czemu
Odzież szyć i kłaść musicie!
Oto, chcecie cudzą wełną
Zakryć nagość swą sromotną!
Dzieci! strzeżcie się jak ognia
Tych bezwłosnych wyrodzeńców!
Córki mojej nie ufajcie
Tym, co mają nogi w spodniach!" —
Nie chcę dalej mówić o tém,
Jak ten niedźwiedź w mrzonkach swoich
O równości rezonował,
Bijąc w nasze ludzkie plemię,
Bo, nakoniec, ja sam także
Jestem człkiem i powtarzać
Nie mam chęci wszystkich bredni,
Które — w końcu — obrażają.
Tak, ja-m człowiek — i ja-m wyższy
Nad zwierzęta inne ssące.
Zysków mego urodzenia
Nigdy, w niczém się nie zaprę!

W każdym boju z inną bestyą
Będę zawsze wiernie walczył
Za ludzkości prawa święte,
Przyrodzone ludzkie prawa!

R o z d z i a ł VI.

Byłoby to jednak błogo
Dla człowieka, co przedstawia
Wyższy stan zwierzęcy, wiedzieć,
Co tam niższe stany mówią.
O tak! — nisko, w tych posępnych
Sferach wszelkich nędz społecznych,
W niższych owych świata słojach,
Żal wybucha, zawiść, duma!
Temu, co przez lat tysiące
Stało prawem nawyknięcia
I przyrody dziejów prawem,
Lada morda dzisiaj przeczy.
Starzy młodym kładą w uszy
Takie lekcye i teorye,
Które i cywilizacyi
I ludzkości całej grożą.—
„Dzieci!” — mruczy Atta Troll,
Z boku na bok się na twardém
Przewracając legowisku: —
„Dzieci, przyszłość naszą będzie!
Gdybyż więcéj tak niedźwiedzi,
Więcój zwierząt tak myślało,
Jak ja, — siłą zjednoczoną

Pokonaliby tyranów!
Niech się złączą dzielne zebry
Z rumakami, dzielne słonie
Niech zjednoczą bratnie trąby
Z rogatemi głowy wołów,
Wilk i niedźwiedź wszelkiej barwy,
Kozioł, mała, nawet zajac,
Niech działają wszyscy wspólnie,
A nie ujdzie nam zwycięstwo!
Jedność, jedność! To jest pierwszy
Do wolności krok! Rozbici —
Służyć musim, lecz złączeni
Przemożemy swych ciemieców!
Jedność, jedność — a zwyciężym!
A przepałą niecne rządy
Monopolów! Utworzymy
Nową zwierząt republikę,
A w niej pierwszym prawem będzie
Równość wszystkich boskich stworzeń,
Bez różnicy miary, wiary,
Maści, sierci; nawet woni.
Ścisła równość! Każdy osioł
Będzie pełnić mógł urzędy
Choć najwyższe; lew, przeciwnie,
Będzie worki niósł do młyna.
Co się tyczy psa, ten wprawdzie
Jest nikczemnym serwilistą,
Bo też całe lat tysiące
Człowiek go jak psa traktował,
Ale w naszej republice
Przywrócimy mu znów stare
I nieprzedawnione prawa,

Co go wkrótce uszlachetnią.
O tak! Żydzi nawet będą
Pełnych ludzkich praw używać
I zostaną porównani
Z wszelkiem inném zacném bydłem!
Tylko — byłbym zdania, aby
Żydzi w rynkach nie tańczyli;
Ten wyjątek jeden czynię
W interesie mojej sztuki.
Rasa to nie obdarzona
Zmysłem stylu i plastyki
Wdzięcznej ruchów; więchy psuła
Smak wykwinny publiczności."

R o z d z i a ł VII.

Chmurny, w ciemnej swój jaskini,
W zaufaném blizkich gronie,
A'tta Troll, mizantrop wzniosły,
Sapie i przez zęby mruczy: —
„Ludzie, ludziel wy, szydercy,
Śmieście się! Od śmiechów waszych
I od jarzma nas waszego
Przyszły wielki dzień wyzwoli!
O! najcięższa to zniewaga —
Owe słodko-kwaśne miny
W sam nos! Dzisiaj znieść nie mogę
Tych obrzydłych ludzkich śmiezków!
Gdym na białém lieu zoczył

Ten fatalny śmieśzek drwiący,
Wszystkie we mnie się wynętrzości
Przewracały z oburzenia!
Obelżywiój, niżli słowem,
Umie człowiek tknąć uśmiechem —
I w uśmiechu zdradzać nawykł
Duszy swój największą wżgardę.
Zawsze uśmiech! nawet wtedy,
Gdy rzecz sama chce powagi;
Uśmiech nawet i w miłości,
W uroczystej szczęścia chwili,
Zawsze uśmiech! człowiek zdolny
Śmiać się nawet w tańcu! To też
Sparodyował już tę sztukę,
Godną kultem ludów zostać.
Tak, tak! Taniec w dawnych czasach
Był pobożnym aktem wiary.
Płasał chór kapłanów bożych,
I król Dawid niegdyś płasał
Z harfą przed przymierzą arką.
Tak i ja też pojmowałem
Taniec, kiedym jeszcze tańczył
W rynkach miast, przed całym ludem,
Co nie skąpił mi uznania.
To uznanie — rad przyznaję —
Miłém było sercu memu.
Bo to słodycz nad słodycze,
W oczach wroga ujrzeć podziw!
Ale nawet w entuzyazmie
Ludzie śmieją się — i taniec
Nie ma siły ich odmienić.
Zawsze ród to będzie płochy!“

R o z d z i a ł VIII.

Czasem zdarza się, że człowiek
Najcnotliwszy — szewcem trąci,
Podczas kiedy duch słuźalczy
Ambrą pachnie i lawendą.
Są dziewicze czyste dusze,
A czuć od nich szare mydło,
Gdy występek się częstokroć
Różanemi wody myje.
Przeto nie krzyw, proszę; nosem,
Drogi bracie, jeśli jama
Atta Trolla nie przywodzi
Na myśl ci arabskich woni.
Zejdź w te ciemne kręgi ze mną,
Gdzie powietrze jest przyciężkie,
Gdzie wódz stary, jak z za chmury,
Tak synowi swemu prawi:
„O, mój synu! lędźwi moich
Ty ostatnia latorośli!
Nakłoń ucho twe jedyne
I posłuchaj słów rozumu.
Strzeż się ludzkiej filozofii!
Ona kazi krew i ducha.
Między ludźmi niema zgola
Porządnego filozofa.
Nawet Niemcy, niegdys prawi,
Nawet ci synowie Thora,
Od prawieku nam pokrewni,

Wyrodzili się w tych czasach,
I bez Boga dziś, bez wiary,
Głoszą wiedzę ateizmu...
Dziecię! dziecię moje! Strzeż się
Feuerbacha i Bauera,
Strzeż się zostać ateistą,
Niedźwiedziem bez czci, bez wiary
W mądrość Stwórcy! Tak jest, Stwórca
Stworzył nas i świat ten cały.
Tam, na górze, księżyc, słońce,
Gwiazdy długo-ogonowe,
Równie jak bezogonowe,
Są odbiciem Jego chwwały.
A tu w dole — lądy, morza
Są potęgi Jego echem,
I stworzenie tutaj każde
Wielbi Jego miłosierdzie.
I najmniejsza nawet weszka,
Co w pielgrzymy siwój brodzie
Ziemią podróż swą odbywa,
Głosi chwałę Przedwiecznego...
W górze, pod gwiazdzistym sklepem,
Na królewskim, złotym tronie,
Władnąc światem, w majestacie
Siedzi niedźwiedź lodowaty.
Nieskalana, śnieżno-biała
Skóra jego, a na głowie
Ma koronę dyamentową,
Co oświeca niebo całe..
Jego lica — słońce harmonia,
A myśl jego — czyn milezący.
Skinie berłem — i wnet oto

Sfery światów śpiewać poczną.
U nóg jego siedzą błogo
Świątobliwe ojców cienie,
Które tu cierpiały zbożnie,
Dzierżąc palmy w świętych łapach;
Czasem skoczy nagle który,
Skoczy drugi, jak natchniony
Duchem Świętym, i zawiodą
Uroczysty tan wieczności.
Tan to, w którym promień łaski
Wzmaga talent przyrodzony,
W którym dusza uniesiona
Z własnej skóry chce wyskoczyć!
Czyż dostąpię, ja, niegodny,
W tém zbawieniu Pańskim cząstki?
Czy z padołu płaczu przejdę
Do radości wiecznej raju?
I czy będę, w uniesieniu,
Pod gwiazdzistych sfer namiotem,
W wiecznej gloryi, z palmą w łapie,
Przed najwyższym tańczył Panem?"

R o z d z i a ł IX.

Jak szkarłatny język, który
Czarny księżę Freiligrath'a
W nienawiści i pogardzie
Z czarnej paszczy swój wysuwa, —
Tak wszedł księżyc z za obłoków.

W dali kędyś wodospady
Huczą pieśni swe bezsenne,
Budząc cichy świat uspiomy.
Atta Troll na szczycie stoi,
Na samotnej skały szczycie,
I samotny ryczy nocą
Na przepaście, na głębiny: —
„Tak! Ja-m niedźwiedź! Niedźwiedź jestem,
Jestem ten, którego zwiecie
To maruchą, to kudłaczem,
Misiem i smörgońskim klocem.
Tak! Ja-m niedźwiedź! Niedźwiedź jestem!
Jestem ową bestyą dziką,
Jestem skoczkiem waszym nędznym,
Pośmiéwiskiem waszej ciżby,
Tarczą, w którą dowcip strzelał
Tak, ja jestem tą potworą,
Którą wasze dzieci straszą,
Grymaszące ludzkie dzieci.
Tak, ja jestem tém straszylkiem
Z opowieści nianiek waszych!
Obwołuję to rozgłośnie
Na ten cały nędzny świat!
Słuchaj, ziemiol! Ja-m jest niedźwiedź!
Kodu mego się nie wstydzę!
Taki-m dumny, jakby dziadem
Był mi Mójżesz Mendelsohn!“

Rozdział X.

Dwie postacie mroczne, dzikie,
Na czworakach kroczą dumnie
O północy, drogę sobie
Czyniąc wpośród jodeł gęstwy.
Jest to Atta Troll wraz z synem,
Młodym owym jednouchem.
Gdzie zmierzch leśny wskrós przeświéca,
Przy ofiarnym głazie stają, —
„Ten głaz” — mruczy ojciec stary —
„Jest to ołtarz, gdzie druidy,
W dniach ciemnoty i przesądu,
Poświęcali krew ofiarną.
O, nieszczęsne zaślepienie!
Kiedy myślę o tém, włosy
Dębem stają mi na grzbiecie.
Na cześć Boga krew przeléwał
Dziś już czasy oświéceńsze.
Nie zabija już brat brata
Z dzikiéj jakiejs gortliwości
O niebieskie zyski swoje.
Nie; już niéma takich szaleństw,
Ani rojeń fantastycznych.
Korzysó ziemską, samolubstwo —
To dziś ludzi pcha do mordów.
Dziś za dobra ziemskie człowiek
Chwyta jeden przez drugiego.
W tym rabunku nieustannym

Każdy kradnie sam dla siebie
I dziedzictwo wszystkim wspólne
Każdy swoim mieni łupem,
I o prawie posiadania,
O własności księgi pisze...
Własność! prawo posiadania!
Co za fałsz! Co za złodziejstwo!
Taki podstęp głupi, nędzny,
Człowiek tylko mógł wymyśleć.
Nam przyroda nie oddała
Nic na własność. Bez kieszeni,
Bez kieszeni w naszych futrach
Wszyscy na świat się rodzimy.
Żaden, synu, z nas niedźwiedzi,
Nie ma mieszków przyrodzonych,
Żeby w sierci awéj kudłatéj
Ukryć kradzież i zataić.
Człowiek tylko, wąż ten gładki,
Co się w cudzą węgę stroi;
Ten wie dobrze, jak foremnie
Zaopatrzyć się w kieszenie.
Kieszeń! Ona — tak potworną,
Jak i prawo posiadania,
Jak i własność! Wszyscy ludzie
To złodzieje kieszonkowi!
O! jakże ich nienawidzę!
Ty, ty, dziedzic mego ducha,
Przysiąż mi na tym ołtarzu
Nienawidzić rodzaj ludzki.
Bądź śmiertelnym wrogiem ehciwców
I ciemięzców aż do śmierci...
Przysiąż! przysiąż mi to, synu!"

Młodzian przysiągł, tak, jak niegdyś
Przysiągł Hannibal; a księżyc
Świecił na ofiarny kamień
I na obu mizantropów.

.

Później może się dowiemy,
Jak dotrzymał niedźwiedź słowa
Swój przysięgi. Lutnia moja
Nowe epos mu poświęci.
Co zaś tycze się starego,
Zostawimy go na stronie,
By go później znowu spotkać
I na pewno kulką trafić.
Śledcze akta twojej sprawy,
Niecny zdrajco ty ludzkości,
Zamykają się na dzisiaj.
Jutro wyrok twój zapadnie.

R o z d z i a ł X I.

Jak uspione bajadery
Stoją góry ciche, senne,
W białych z lekkiej mgły zasłonach,
Poruszanych wiatrem rannym.
Lecz nie długo się rozjaśnią,

Gdy Bóg słońca zstąpi na nie,
I zasłony te z nich zdejmie,
I oświeci piękność nagą.
W taki wczesny, mglisty ranek
Wybraliśmy się z Laskarcem
Na niedźwiedzie. O południu
Przebyliśmy Pont d'Espagne;
Tak się most nazywa, który
Wiąże Francyi kraj z Hiszpanią,
Z krajem owych barbarzyńców,
Co lat tysiąc wstecz zostali.
Cały tysiąc lat! Pomyślecie!
W nowoczesnych dni kulturze
Wschodni moi barbarzyńcy
O sto tylko się spóźniają!
Gniéwny, prawie zły, rzucilem
Błogi grunt francuzkiej ziemi,
Tój ojczyzny wolnych duchów,
A i pięknych kobiet także.
Coś w połowie mostu siedział
Biédny hiszpan; głodna nędba
Wyziérała mu z łachmanów
I z zapadłych, czarnych oczu.
Jakiéjs staréj mandoliny
Wyachła ręką szczypał struny
I dobywał wtór fałszywy
Z swojej staréj, zwiędłej piersi.
Czasem nizko się pochylał
Nad przepaścią z oichym śmiechem
I poczynął grać zaciekle,
Grać i śpiewać w takie słowa: —

„W mojem sercu stolik złoty,
Przy stoliku małym, złotym,
Stoją cztery złote krzesła,
A na krzesłach siedzą damy,
Cztery damy. Złote strzały
Lśnią w warkoczach; damy grają,
W karty grają, lecz wygrywa
Jedna tylko donna Klara.
Gra i śmieje się zalotnie...
Ach, w mém sercu, donno Klaro,
Ty wygrywać zawsze będziesz,
Bo wszak twoim tryumf każdy!” —

Idąc tedy dalej, rzekłem
Sam do siebie: — Rzecz szczególna!
Między Francją i Hiszpanią,
Ot, szaleństwo siedzi, śpiewa.
Jest-że waryat ten obrazem
Wspólnych myśli obu krain?
Czy też jest własnego kraju
Tytułową śmieszna kartą? —
Zmrok był, gdyśmy wreszcie doszli
Do Posady oplakanój,
Kędy Ollea-Potrida
Z brudnej się kurzyła misy.
Tam to jadłem i Garbanzos,
Ciężkie, jak z ołowiu kule,
I niestrawne nawet Niemcom,
Co na kluskach rosną z dziecka.
A w pobliżu kuchni łóżko
Stało, jakby opieprzone
Przez robactwo. Ach, te pluskwy!
To największy wróg człowieka!

Gorszą, niżli gniew tysiąca
Słoniów, jest nieprzyjaźń jednej,
Tylko jednej małej pluskwy,
Co po łóżku twojem łazi,
A ty musisz dać się kąsać,
Bobyś trafił gorzej jeszcze,
Gdybyś zgniótł ją... Woń zabójcza
Dreczęłaby cię do rana...
Tak! Na ziemi najstraszliwszą
Walką — walka z tém robactwem,
Co wojuje wonią własną,
Walka nocna z jedną pluskwą!

R o z d z i a ł XII.

Jak téż klamią ci poeci,
Nawet najumiarkowańsi!
Mówią, oto, że natura
Jest świątynią wielką Boga,
Jest świątynią, której cuda
Obwieszczają Stwórcy chwałę,
W której słońce, księżyc, gwiazdy
Wiszą, jak u stropu lampy.
Niech-że i tak, dobrzy ludzie!
Lecz, przyznajcie, że w świątyni
Téj są schody niezbyt świetne,
Diabło nawet ńędzne schody!
Piąć się w górę, z góry schodzić,
Drapać na szczyt i przesadzać
Skał szczeliny — to mnie męczy
I na duszy i na ciele.

Obok mnie Laskaro kroczy,
Blady, długi, jak grórnica.
Ni w nim słowa, ni uśmíechu.
Syn to zmarły czarownicy;
Tak jest, zmarły dawno człowiek,
Bardzo dawnol Przecież matki
Czarnoksiężki wpływ, Uraki,
Pozór życia mu nadaje.
Ach! przeklęte śtopnie chramu! —
Żem, po dzikich tych przepaściach
Włóczęc się, nie skręcił karku,
To mi do dziś niepojęte.
Wodospady plują w oczy,
Wiatr biczuje sosny czarne.
Co za jęk! Chmurzyska ciężkie
Wloką się! Fatalna pora.
W małej chatce, u rybaka,
Przy jeziorze Lac-de-Gobe,
Znaleźliśmy dach nad głową
I forelle srebrno-płetwe.
W wielkiem krześle nawpół leżał
Rybak stary, siwy, chory,
A dwie piękne siostrzenice
Przy nim, jakby dwa anioły.
Niecico grube i flamandzkie
Były to anioły, jakby
Z ram niekły Rubensowi:
Jasne włosy, jasne oczy,
Dołki dwa w różowych licach,
Zkąd zalotność czyha skrycie,
A postawy silne, świeże
Budzą żądzę i obawę.

Najsliczniejsze te stworzenia
Były z sobą w ważnym sporze,
Jaki napój dać stryjowi,
Aby mu powrócić strawność...
Jedna daje mu czareczkę
Z naparzoną kwiatem lipy,
Druga wciska mu do ręki
Szklanę leków rumiankowych. —
„Precz mi z jedným, jak i z drugim!” —
Woła stary niecierpliwie. —
„Wina dajcie! Niechaj gości
Godnym ich uraczą trunkiem.” —
Było-ż to istotnie wino
To, co piłem w Lac-de-Gobe,
Tego nie wiem; lecz w Brunświku
Wziąłbym lurę tę za Mummę!).
Łągiew była z czarnej skóry
Kozła i woniała przednio.
Jednak starzec pił z niej chciwie,
Aż ozdrowiał, aż odmłodził.
Pijąc, prawil nam powieści
O bandytach, przemytnikach,
Którzy tu na wolnej stopie
W pirenejskich lasach żyją.
Znał on także stare dzieje,
Stare baśnie fantastyczne
O olbrzymów wielkich bojach
Z niedźwiedziami dawnych czasów.
Te olbrzymy i niedźwiedzie

1) Gatunek mocnego p'wa.

Bojowały niegdys z sobą
O królestwo gór i dolin,
Nim w nich człowiek się osiedlił.
Lecz z przybyciem człeka pierzchły
Olbrzymiska z téj krajiny,
Bo wiem w takich wielkich głowach
Mózgu mało jest na podziw.
Powiadają — cała kupa,
Kiedy przyszła raz nad morze
I ujrzała, jak się w fali
Błękit nieba załamuje,
Uwierzyła, że to niebo,
I rzuciwszy się w nie hurmem —
W miłosierdzie Boże ufna —
Zatonęła co do nogi.
Co zaś tycze się niedźwiedzi,
To ich ród zanika w górach,
Wciąż tępiony bezlitośnie
Przez zdobywcze, ludzkie plemię. —
„Tak to jedni” — mówił stary —
„Miejsce drugim robić muszą.
A po ludzkich rządach przyszło
Panowanie karłów w górach.
Mądry to był ten ród karli,
W skalnych głębiach zamieszkały
I kujący kilofami
W szczerém srébrze, w szczerém złoście.
Oj! widziałem ja ich nieraz
Po księżycu nowiu jasnym,
Kiedy z szczelin wytkną głowy.
I strach jakiś brał mnie za łeb,
Strach przed złota ich potęgą

I przed głupstwem naszych wnuków,
Co gotowi w morze skoczyć,
Gdy w niém niebo kto pokazeł!”

R o z d z i a ł XIII.

W czarnej, dzikiéj skał kotlinie
Śpi jeziora głébia czarna.
Smętne gwiazdy patrzą z nieba,
Patrzą z nieba w noc i w ciszę.
Noc i cisza. Plusk dwu wiosel
Szemrze dziwnie tajemniczo;
Płynie czólno, a u steru
Stoi piękne dziewczę hoże.
Płyniem rażno. Wśród ciemności
Błyśnie czasem gibkie ramię,
Ramię nagie, srebro-białe,
Błysną czasem modre oczy.
Obok mnie Laskaro siedzi,
Jak zazwyczaj, blady, niemy,
A mnie w mózgu myśl świdruje,
Czy on jeden jest umarłym?
Czy już może i ja także
Płynę oto ku wieczności,
W téj widmowéj czarnej łodzi,
Przez królestwo chłodne cienia? —
Może czarne to jezioro —
To styksowe wody smętne,

A służebne Prozerpiny
Miały Charona nas uwożą?
Nie, nie! Jeszcze nie umarłem!
Nie zagasłem! W mojej duszy
Pali, żarzy się i tryska
Żywy płomień mego życia!
Te dziewczęta, które wiosłem
Raźno pluszczą, i ta woda,
Woda, którą w jasnych kroplach
Otrząsają na mnie z śmiechem,
Te wiosenne, świeże twarze, —
Nic nie mają widmowego
I, choć może rodem z piekła,
Nie są w służbie Prozerpiny!
Aby całkiem się upewnić,
Że w nich niema nic z za świata,
I o własnej żywotności
Dotykalnie się przekonać,
Przycisnąłem nagle usta
Do różowej, ślicznej twarzy,
Ten logiczny czyniąc wniosek:
Tak, całuję — a więc żyję!
Lecz u brzegu znów musiałem
Dobre dusze ucałować,
Gdyż jedynie w tej monecie
Chciały przyjąć swą zapłatę.

R o z d z i a ł XIV.

Z słonecznego tła się śmieją
Fijołkowe górskie szczyty,
A na stoku, gniazdo ptasie,
Przylepiona wioska biała.
Puste było gniazdo owo:
Stare ptaki wyleciały,
I znalazłem tylko młode,
Którym jészcze pierza brakło.
Drobne chłopcy i dziewczątka,
Zakutane w chusty krasne,
W samym ńrodku białej wiński
Odprawiąły swe wesele.
Obey przybysz ich nie spłoszył.
I wnet oto zakochany
Mysi królik patetycznie
Kląkł przed córą króla kotów.
Bińdny książe! Gdy poślubisz
Ową piękńą, mruczeć zacznie
I zadławi cię, igrając...
A gdy zdechnie mysz—skończone!—
Cały dzień mi przeszedł boży
Na gawędoe poufałój
Z dziatwą, co koniecznie chciała
Wiedzieć, kto ja — i co robię? —
„Druhy moje” — rzekłem — „Niemcy
Zwie się kraj, gdzień się urodził,
A niedźwiedzi jest tam mnogość,
A ja wśród nich byłem łowcem.

Nie jednemu wyciągnąłem
Kudły wyżej jego uszu,
Choć i mnie się przytrafiało
Być głośniętym przez maruchę.
Lecz z kudłatą ową zgrają
Drżąc się co dzień i uganiać
W drogiej mej ojezyźnie, przyznam,
Że dojadło mi już srodzco.
Więc przybyłem tutaj oto,
By robotę znaleźć inną:
Chętnie wziąłbym się za bary
Z waszym wielkim Atta Trollem.
To przeciwnik jest szlachetny
I mnie godny. Ach! tam, w Niemczech,
Prowadziłem boje takie,
Żem się wstydził w nich zwyciężwał" —
Kiedym z dziatwą się rozstawał,
Tańczył drobiazg ten koło mnie
I głosikiem ciekim śpiewał:
„Girofflino! Girofflette!”
A najmłodsze w wielkiej chuście,
Drobnym kroczeniem szło przede mnie
I dygnęło dwa, trzy razy,
Piszcząc ciekim swoim głosikiem:

„A jak spotkam króla pana,
Kłaniam mu się do kolana,
Jak królowę spotkam panią,
To trzy razy dygam za nią,
A jak diabła rogatego,
Cztery dygi mam dla niego,
Girofflino, Girofflette!”

„Girofflino — Girofflette!”
Odpowiedział chór i rażno
Tańczył kołem u nóg moich
Swoją kolistą śpiew i taniec.
A gdym schodził z gór w doliny,
W cichém się powietrzu niesły
Głoski cienkie, jak piśk ptasząt:
„Girofflino, Girofflette!”

R o z d z i a ł X V .

Te olbrzymie skał odłamy,
Nieforemne i zwietrzałe,
Patrzą na mnie, jak potwory
Skamieniałe dawnych wieków.
Dziwna! Szare owe chmury,
Co tam ciągną po nade mną,
Zdają mi się być odbiciem
Tych kamiennych dzikich kształtów.
W dali huczą wodospady,
Wicher w jamach świeszcy, wyje,
Szum i łoskot idą w koło,
Jak rozpaczne krzyki, jęki.
Coraz dziksza tu samotność!
Czarne kruki tylko siedzą
Na żwiczgzonych czubach sosen
I machają krzywém skrzydłem.
Obok mnie, milczący, blade,
Kroczy mój Łaskarq; przy nim

Ja wyglądam, jak szaleństwo,
Które śmierci towarzyszy.
Szpetnie pusta okolica!
Czy przekleństwo ciąży nad nią?
Zda się krew na pniu spostrzegam
Karłowatej jodły czarnej.
Jodła ta przy chacie sterczy,
Co się kryje zawstydzona
Przez pól w ziemię; błagająco,
Trwożnie patrzy dach słomiany.
Mieszkańcami owéj chaty
Są Kagoty, szczęty marne
Prastarego gór plemienia,
Które w cieniu tu wymiéra.
W sercach prawych Baskijczyków
Dziś się jeszcze tli nienawiść
Do Kagotów. Smętne resztki
Smętnych czasów fanatyzmu.
W starych Basków starym tumie ¹⁾
Jest żelazna furtka niska.
Było to, jak prawi kustosz,
Wejście dla Kagotów nędznych.
Im wzbronione były niegdys
Wielkie drzwi kościelnej nawy,
Więc się tędy do świątyni
Przekradali, jak złodzieje.
Tam, na niskim owym stołku
Siedział, zebrząc, Kagot stary,
Zdała, jak zapowietrzony,

1) W Bagnères.

Od gromady bab i dziadów.
Ale oto światło wieku
Zapłonęło, jak pochodnia,
Rozpraszając w kątaoh nawy
Stare cienie średniowiecznej —
U drzwi został się Laskaro,
Kiedym wszedł do nędznej chaty,
By Kagota, co w niej mieszkał,
Dłoń uścisnąć po bratersku.
I złożyłem pocałunek
Na dziecięcia jego czole,
Które ssalo pierś matczyną,
Niby cienki, chory pajak.

R o z d z i a ł X V I.

Kiedy patrzysz z oddalenia,
To gór czuby tak się błyszczą
Łuną złota i purpury,
Jak królewskie słońca trony.
Ale zbliżka czar ten znika.
Przepych gór, jak każda wielkość
Ziemska, zdala tylko ludzi
Zwodniczemi światła blaski.
To, co brałeś za purpurę,
Śniegiem tylko jest i lodem,
Nędznym śniegiem, co na szczytach
Leży w martwej swój głuchocie.
Idę wyżej, słyszę głosy

I skrzypiące skargi słyszę.
To ów śnieg przed wichrem górskim
Na swą nędzę tak narzeka. —
„O! jak wolno” — wzdycha — „płyną
W tym bezmiarze smętne chwile
I godziny te bez końca,
Co wiecznością są zamarła!
O! ja nędzarz! Czemuż raczej,
Zamiast na te głuche szczyty,
Nie zleciałem na dolinę,
Na dolinę ukwieconą?
Byłbym stopniał w strumyk świeży
I popłynął, szemrząc, wioską;
Najpiękniejszą dziewczę we mnie
Liczą myłoby śmiejące...
I do morza bym dopłynął,
I zakłęty w perłę białą —
Kto wie — może bym też kiedy
Na królewskiej lśnił koronie.”
Na to ja — te słysząc mowy: —
„Miły śniegul bardzo wątpię,
Aby cię w dolinie cichój
Taki świetny los miał spotkać.
Pociesz się! Nie wszystkim dano
W jasne perły się zamieniać.
Tybys może w rynsztok spłynął
I zwyczajnym błotem został!”
A gdym te i tym podobne
Z śniegiem owym miał rozmowy,
Huknął strzał. Z powietrznych wyżyn
Spadł brunatny, wielki jastrząb.
Był to drobny żart Laskara,

Ot, łowiecki żarcik. Przecież
On sam, martwy stał i tylko
Strzelba w ręku mu dymiła.
Potém, mileząc, wyrwał pióro
Z skrzydła ptaka; milcząc, zatknął
Za kapelusz pióro owo
I szedł, milcząc, w dalszą drogę.
Dziwny, dziwny był to widok;
Kiedy jego cień wraz z piórem,
Na płaszczyźnie śnieżnej, czarny,
Wydłużony się poruszał.

R o z d z i a ł XVII.

Jest dolina wązka, długa,
Drogą duchów się nazywa.
Nagie skały sterczą z boków,
Kradnąc światło dnia i słońca.
Pod urwistym zrębem głazu
Stoi w jarze, jak wideta,
Mały domek czarownicy;
Podążyłem tam z Laskarem.
Tam on z matką miał naradę
W najtajniejszych znaków mowie,
Jakby znaleźć Atta Trolla,
Na strzał zwabić i zastrzelić.
Bo już trop my jego zesłi,
Wyśledzili, i już nie mógł
Ujść przed nami. Policzone

Są dni twoje, Atta Trollu!
Czy ta stara, ta Uraka,
Była w rzeczy czarownicą,
Tak, jak o tém szły posłuchy
Między ludem w Pirenejach,
Za to głowy dać — nie dają.
Ja wiem tylko to, że miała
Minę bardzo podejrzaną
I złowrogie oczy krwawe,
Oczy bardzo podejrzane.
Słychać było téż, że kiedy
Obróciła je na krowę,
Wysychało wymię z mléka.
Zapewniano również, jako
Szorstkiéj dłoni swéj dotknięciem
Zabijała tłuste wieprze,
Bał i wołu najzdrowszego.
Była nawet raz skarżona
O podobne przewinienia
Przed wielmożnym sędzią; ale
Sędzia był wolteryjaninem .
I dziecięciem płochém wieku,
Bez przekonañ i bez wiary;
Więc szyderczo i sceptycznie
Wyśmiał kumów i kumoszki.
Urzędownie miała baba
Swe rzemiosło, tak, jak każdy;
Handlowała górskiém zieleń
I wypchaném ptactwem dzikiém.
Pełną była jéj chatynka
Tego kramu; woń dusząca
Szła z ziół zwiędłych i z korzeni,

I z martwego ptactwa w pierzu.
Była tam kolekcya cała
Rudych sępów i jastrzębi,
Rozpostartych jak do lotu,
Każdy z wielkim, ciężkim dziobem.
Nie wiem, czy to woń szaleju
Uderzyła mi do głowy,
Lecz mi było jakoś dziwnie,
Kiedym patrzył na te ptaki.
Zdało mi się, że to wrogi
Czarownicy, złą jój sztuką
Uwięzione w ptasim kształcie,
Muszą tutaj stać wypchane.
Tak patrzyły na mnie bystro,
Tak boleśnie, natarczywie,
Czasem nawet krągłe oczy
Obracały w wiedźmy stronę.
Lecz Uraka, obok syna
Przy kominie pochylona
Nad czerwonym ognia żarem,
Lala olów, kule lala.
Były to wyroczne kule,
Atta-Troll miał od nich zginąć.
Jakże krwawo pełza płomień
Po obliczu czarownicy,
Gdy porusza wargą zwiędłą,
Zwiędłą wargą swą, bez głosu,
Szepcząc ciche zaklinania
I czarując lane kule..
Czasem śmieje się bezdźwięcznie
I na syna kiwa, wruga.
Lecz ten pełni swą powinność,

Jak śmierć martwy i miłujący.
Odurzony tchem téj izby
Chciałem wiew pochwycić świeży
I, ku oknu się zbliżywszy,
W ođdalony jar spojrziałem:
Com tam widział w ową chwilę,
W tę północną duchów porę,
To wam powiem pięknie, wiernie
W tym rozdziale, co nastąpi.

R o z d z i a ł XVIII.

A było to czasu pełni,
W noc widmową, świętojańską,
Kiedy dzikie łowy duchów
Przeciągają po nad ziemią.
Z drobnój szybki u okienka,
Z czarownicy staréj gniazda,
Mogłem widzieć, jakby we dnie,
Całą straszną kawalkatę.
Miejsce miałem wyjątkowe
Do takiego widowiska.
Pełném okiem mogłem patrzeć
Na upiorów dzikie harce.
Trzask z batogów, hejże! hasał
Rzenie koni, sfór szczekanie,
Rogi, trąbki, głośne śmiechy,
Na tysiące ech rozbitel
Po powietrzu, niby w kniei,

W przeraźliwym gonie sadzą
Dziki, sarny i-jelenie,
A za niemi łowców chmara.
Łowcy różnych sfer, narodów,
Różnych czasów i ryzsztunków.
Przy Nemrodzie assyryjskim
Karol pędzi w cwał Dziesiąty.
Bok w bok sadzą konie białe,
A tuż przy nich biegnie pieszo
Pikier z swoim kordelasem,
Z pochodniami gibkie pazie.
I niejeden w tym orszaku
Zda mi się być dobrze znanym:
Ten, ot, w złotój, cennój zbroi
Nie byłżeby to król Artur?
A ów Duńczyk, messer Ogier,
Czyż to nie on ma zielony
Pancerz z blachy szmelcowanej,
W którym żabie jest podobny?
Widzę także wodzów myśli
W tym orszaku widm goniących,
Oto-m poznał cię, Wolfgangu,
Po pogodnym oka blasku.
Hengstenberg cię wyklął, mistrzu,
I nie możesz spać dziś w grobie,
Lecz z pogańskim korowodem
Za uciechą życia pędzisz.
Oto-m poznał po uśmiechu
Nieśmiertelnych ust — William!
Niegdyś go przekłęli święci
Purytanie... I ten grzesznik
Musi pędzić w dzikim harcu

Na rumaku swoim czarnym.
Przy nim osioł galopuje,
A na osle... Wielkie nieba!..
Po zawiedłój, tępój twarzy,
Po szlafmicy bawełnianej
I po drzeniu własnej duszy —
Poznałem cię, druhu, Hornie!
Za komentarz do Szekspira
Musisz teraz, musisz, stary,
W wysłużonej swój szlafmicy
I po śmierci pędzić za nim.
Ach! mój słodki Franz w tym cwale!
On, co ledwo śmiał się ruszać,
On, co tylko przy kolacy,
Albo w łóżku się poruszał!
Co powiedzą na to, proszę,
Stare panny, co go znały
Takim cichym, gdy usłyszą,
Że Franz Horn jest dzikim łowcem!
Jedzie, a gdy w galop wpadnie,
Wielki William patrzy drwiąco,
Jak ten biędny komentator
Poci się na swoim osle,
Jak, bezwładnie i kurczowo
Siedząc w siodle kłapoucha,
Żyw czy martwy, zawsze wiernie
Swego trzyma się autora.
A i damy też widziałem
W dzikim duchów korowodzie,
A szczególnie piękne nimfy
O wysmukłych, gibkich ciałach.
W olimpijskiej swój nagości,

Jak mąż, konia dosiadały,
I włos tylko długi, złoty,
Płaszcz dawał im powiewne.
Po nad czołem miały wieńce,
Ciała wdzięcznie w tył podane,
I pędziły tak galopem,
Całe w blaskach księżycowych.
Obok nich widziałem także,
Jak przypięty kwiat na siodle,
Piękne, młode amazonki
Z sokołami na ramionach.
Po za niemi, jak parodya,
Na wycłudłych Rosynantach,
Mknął cudaczny dziw korowód,
Komedyancko postrojonych;
Minki miały dziwnie wdzięczne,
Chociaż nieco wyuzdane,
A krzyk, śmiech szalony buchał
Z ustek ich wymalowanych.
O! jak grzmiąco niosły echa
Rogi łowców, śmiechy, wrzaski,
Rżenie koni, psów szczekanie,
Trzask batogów... Hejże! Hasa!

R o z d z i a ł X I X .

Lecz ze wszystkich najpiękniejsze
W samym środku łowców pędzą
Trzy postacie. Nie zapomnę

Nigdy zjawisk tych dziewczęcych.
Pierwsza miała nów u czoła —
I tę łatwo poznać było.
Harda, czysta, posągowa,
Jedzie wielka łowów ksieni.
Jój tunika do połowy
Kryje piersi, biodra kryje,
A pochodni blask i księżyc
Ślizga się po członkach białych.
Jak z marmuru białe lica,
I jak marmur zimna cała.
Straszną była dumną bladość
Tych surowych, boskich rysów.
Przecież w czarnych jój źrenicach
Gorzał jakiś blask namiętny,
Jakiś słodki ogień, który
Duszę ślepił i pożerał.
Jakże inną ta Dyana
Od bogini téj okrutnej,
Co, w jelenia zamieniwszy,
Psami szczuła Akteona!
Czyżby teraz za tę winę
W wyuzdaném łowców gronie,
Jak zwyczajny upiór ziemski,
Pędzić miała w noc miesięczną?
Późno, ale tém gwałtowniej
Płomień żądz w niej się zbudził —
I dziś pali się w jój oku,
Jak prawdziwy żar piekielny.
Dziś nagradza czas stracony,
Kiedy każdy mąż — był bogiem,
I być może, iż ilością

Jakość sobie zastępuje.
Obok niej jechała piękna,
Któręj rysy, mniej helleńsko
Wyrzeźbione, promieniały
Wdziękiem Celtów pokolenia.
Była to Abunda, wieszczka,
Którą łatwo rozpoznałem
Po przesłicznich, świeżych ustach,
Po serdecznym, srebrnym śmiechu.
Twarz jęj zdrowa i różana,
Jak obrazek mistrza Greuze'a,
Wpół otwarte ust serduszko
I urocze zębki białe.
Ta błękitną miała szatę,
Którą wiatr rozwiwał wolny.
Nawet we śnie najpiękniejszym
Nie widziałem takich ramion.
Mało brakło, abym skoczył
Tak wprost z okna ją całować.
A byłby to drogi całus,
Bobym kark na pewno skręcił.
Ach! jak głośno, jak serdecznie
Śmiałyby się, gdybym upadł
W przepaść, u jęj stóp, skrwawiony...
Ach! jak dobrze znam śmiech taki!
Lecz ta trzecia postać cudna,
Co do głębi serce wzrusza,
Czy to także piekielnica,
Jak te dwie, co obok jadą?
Szatan-że to jest, czy anioł?
Nie wiem, i nikt pewno nie wie,
Gdzie w kobiécie się zaczyna

Szatan, a gdzie anioł kończy.
Na namiętnie bladój twarzy
Leżą wszystkie czary Wschodu.
Droga szata przypomina
Złotą baśń Szeherezady.
Usta słodkie — jak granaty,
Przygarbiony lekko nosek,
A wysmukła, wiotka postać —
Jak oazy palma drżąca.
Wielbłąd pod jej siodłem kroczy,
A wędziło jego złote
Dwóch Murzynów dźwierży pieszych,
Po księżniczki obu stronach.
Tak, księżniczką była prawą,
Judei królową była
Piękna owa Herodyada,
Co pragnęła głowy Jana.
Dziś, za udział w krwawym czynie
Potępiona, błądzić musi
Jako widmo w dzikich łowach
Do dnia sądu ostatniego.
W obu rękach zawsze niesie
Misę z ową ściętą głową
I całuje usta martwe,
I z tkliwością patrzy na nią.
Ach! kochała kiedyś Jana —
I, choć o tém biblia milczy,
Między ludem dotąd żyje
Więść o krwawej tej miłości.
Bez kochania któżby pojął
Gust szczególny owój damy?
Czyż kobieta może żądać

Obojętnej mężkiej głowy?
Była może zadąsana
I kazała ściąć miłego;
Lecz na misie gdy ujrzała
Ukochaną głowę martwą,
Wpadła w płacz i w obłąkanie
I w miłosnym szale zmarła.
(Szał miłosny — pleonazmus!
Sama miłość jest już szalem.)
Dziś, gdy wstaje o północy,
Bierze — jak-em już powiedział —
Głowę krwawą z krwawą misą
I, jak gdyby w szale pieaszczot,
Ciska ją wysoko w górę,
Śmiejąc się dziecięcym śmiechem,
I napowrót chwyta w dłonie,
Niby piłkę wśród igraszki.
A gdy blisko mnie już była,
Spojrzy na mnie, główkę skłoni
Tak zalotnie, tak uroczo,
Że mi dreszcz po sercu przeszedł. —
Trzykroć jechał i powracał
Orszak dzikich łowców; trzykroć
W swym przelocie mnie pozdrawia
Wdzięczne widmo Herodyady.
A gdy wszystko się rozwiało,
Gdy przegrzmiały rógów echa,
W mózgu mi, jak szruba złota,
Pozdrowienie to wierciło.
I noc całą, aż do rana,
Przewracałem się na sianie,
Gdyż w Uraki chatce niema

Pierzyn, ani materacy.
I myślałem: co też może
Znaczyć owo pozdrowienie?
Czemu ty tak tkliwie na mnie
Spoglądałaś, Herodyado?

R o z d z i a ł X X.

Słońce wstajeł złote strzały
Biją w mgliste chmurki białe,
Co się krwawią, jak zranione,
I znikają w jasnym blasku.
Bój zwycięstwem się zakończył,
A dzień, jasny tryumfator,
W swój promienną chwałę wstąpił
Na kark szczytów ujarzmionych.
Zaświérkało raźnie ptactwo
Z gniazd ukrytych wśród zieleni,
I z ziół górskich poszły wonie,
Jakby żywy oddech jaru:
O najpiérwszym zorzy brzasku
Z gór zeszedliśmy na doliny,
A gdy dzielny mój Laskaro
Niedźwiedziego szukał tropu,
Ja myślami chciałem zabić
Czas; lecz przyznam, że myślenie
Jakoś w końcu mnie znużyło,
Zasmuciło nawet trochę.
A więc smutny i znużony,
Na meby miękkie padłem w jarze,

Pod tym czarnym wielkim świérkiem,
U którego źródło biło.
I tak mnie te szумы szklane,
Te szelesty, te szeptania
Rozmarzyły, że i myśli
I myślenie mnie odeszło.
Nagle zdjęła mnie tęsknota
Za snem, śmiercią i za szalem,
I za temi łowczyniami,
Które-m widział w dzikim gonie.
O! wy cudne, nocne mary,
Które słońca wschód rozpraszał
Mówcie, gdzie znikacie, mgliste?
We dnie przebywacie kędy?
Pod zwaliska starych świątyń,
Na romańskich brzegach cichych,
Chroni się Dyana biała
Przed Chrystusem i przed krzyżem.
Tylko o północnej dobie
Śmie wychylić się z ukrycia.
Wtedy cieszy się i marzy
O pogańskich pięknych czasach.
I Abunda, wróżka cudna,
Lęka się Nazarejczyka
I dzień cały spędza w państwie
Niedostępném Awalunu.
Ta kraina jest ukryta
Gdzieś wśród cichój mórż przestworzy,
Kędy tylko romantyka
Niesie baśni koń skrzydlaty.
Nigdy troska nie zarzuca
Tam kotwicy, ni parowiec

Pełny gapiów i flistrów,
Z których każdy fajkę kurzy.
Nigdy tam nie niosą echa
Jęków, dźwięków dzwonów naszych;
Owych bim-bam! bim-bam! smętnych,
Których wróżki nienawidzą.
Tam, w swobodzie niezmaconej
I w wieczystej kwitnąc wiosnie,
Mieszka pani jasnowłosa,
Wrózek królowa, Abunda.
Tam przechadza się z uśmiechem
W cieniu wielkich słoneczników,
W uprzejmości pełnym gronie,
Wśród rycerskich paladynów.
Ale ty, o Herodyado!
Powiedz, gdzieś ty?.. Ach wiem, wiem już!
Tyś umarła, a twe ciało
Leży u bram Jeruzalem.
Przez dzień cały śpisz snem śmierci
W marmurowym sarkofagu,
Północ budzi cię dopiero,
Trzask batogów, hejze! hassa!..
Zrywasz się i na łów dziki
Z Dyaną pędzisz i Abundą,
Wśród swobodnych łowców grona,
Którym krzyż i płacz obrzydły.
Co za dzielne towarzystwo!
O! gdybym to ja mógł nocą
Wśród was z wichrem się uganiać
Przy twym boku, Herodyado!
Boś ty jest najmilsza dla mnie!
Więcej, niż boginię grecką,

Niż północy piękną wrózkę,
Kocham cię, Judei córo!
Tak! Ja kocham cię! Ja czuję
To po drzeniu mojej duszy,
O, bądź moja! o, pokochaj
Ty mnie, piękna Herodyado!
O, pokochaj i bądź moja!
Rzuć tę krwawą, martwą głowę,
Wytrzyj miś, ja ci na nią
Dam smaczniejsze, żywe dania.
Ja-m się rodził na rycerza,
Jakiego ci właśnie trzeba.
Żeś umarła i przeklęta —
Co mi tam! Przesądów nie mam!
Wszak o mojem téż zbawieniu
Coś na dwoje babka wróży...
A czy-m jeszcze żyw? to o tém
I sam miéwam wątpliwości.
Więc chciéj wziąć mnie za rycerza,
Za *cavaliere servente*...
Będę nosił szal za tobą
I w czém tylko masz kochanie.
Każdej nocy przy twym boku
W galop puszczę się na łowy
I śmiać będziem się, jak dzieci.
Z różnych moich głupstw i szaleństw.
Tak ci będę skracał chwile
Każdej nocy. Dzień, co płoszy
Wszelką radość, dzień przesiedzę,
Płacząc na twym zimnym grobie.
Tak. Ja we dnie siądę, płacząc,
Na królewskich grobów progu,

Na mogile ukochanćj
U bram miasta Jeruzalem.
A Żyd stary, co tam przejdzie,
Będzie myślał, że ja płaczę
Nad Syonem tym zburzonym,
Nad zburzoną Jeruzalem!

R o z d z i a ł X X I .

Argonauci bez okrętu,
Co się w górach pieszo włóczęm
Za niedźwiedzia lichą skórą,
Nie zdobywać nam run złotych!
Ach! jesteśmy biedne dyabły!
Bohatery nowój mody...
Żaden klasyk przyzwoity
Nie uwieczni nas w swém pieniu!
A cośmy użyli biędzy!
Co, na przykład, za uléwa
Spadła na nas gdzies na wiérchu,
Gdzie ni drzewa, ani fiakra!
Istny potop, chmur zerwaniel
Jakby z cebra — na lby lało.
Przysiądz mogę, że w Kolchidzie
Jazon nie zmokł tak ni razu.
Parasola! Parasola!
Trzydziestu i sześciu królów
Za parasol oddam jeden!
Wołam, a tu ciurkiem leje.

Na śmierć zbici, źli, jak lichy,
Jak zmoczone pudły nocą —
Dowlekliśmy się z powrotem
Do domostwa czarownicy.
Przed płonącym jasno ogniem,
Przed kominem, wiédźma siedzi
I grubego mopsa czesze.
Spędziła go, gdyśmy weszli,
Aby się zatrudnić nami.
Przyrządziła mi posłanie.
Zdjęła ze mnie espartille,
Niewygodny ten strój nogi,
Potém jęła mnie rozbiierać.
Lecz gdy spodnie ściągać przyszło,
Myślałem, że z skórą zléżę,
Tak je dészcz przylepił wiernie.
Szlafrok! Szlafrok! Dam trzydziestu
Sześciu królów za ten szlafrok! —
Wołam, a z koszuli na mnie
Para idzie jakby z garnka.
Zębem w ząb szcękając, drżący,
Stałem chwilę przed kominem,
Potém, jakby oczadzony,
Nieopodal padłem w siano.
Alem nie mógł zasnąć; oczy
Same mi się obracały
Do ogniska, kędy wiédźma,
Rozebrawszy syna swego,
Piastowała go na łonie.
Z boku służył mops otyły
I w jednéj z swych przednich łapek
Nader zręcznie garnczek trzymał.

Z garneczka brała czarownica
Tłuszcz czerwony i w pierś syna
Tłuszcz wciérała ten i w łędźwie,
Gorączkowym szybkim ruchem.
A przy pracy téj mruczała
Przez nos starą jakąś piosnkę,
Kolysankę jakąś... Dziwnie
Trzeszczał przytém żar w kominie.
Jak trup—sztywny, jak trup—żółty
Leżał syn na matki łonie,
A śmiertelnie smutne oczy
Miał szeroko otworzone.
Czy naprawdę to umarły —
I matczyna tylko miłość
Czarem mu, co noc, potężnym
Życie daje jednodniowe?
Dziwny, dziwny stan pół jawy,
W którym członki, jak z ołowiu
Odrętwiały, ale zmysły
Gorączkowo czujne, bystre...
A tu wonie ziół aż duszał
Tchu mi brakło. Więc myślałem,
Zkąd ja znam już zapach taki?
Lecz myślałem nadaremnie.
A tu świszczy wiatr w kominie!
Były to jak gdyby skargi,
Jakby jęki dusz zaklętych,
Jakby znane jakieś głosy.
Lecz najsrożej udręczony
Byłem przez wypchane ptaki,
Które u wezglówia mego
Stały na drewnianej półce.

Zwolna, zwolna, poruszały
Ciężkie skrzydła i nade mną
Pochylały krzywą dziobą,
Właśnie jakby nosy ludzkie.
Ach! gdzież to ja nosy takie
Już widziałem? Czy w Hamburgu,
Czy w Frankfurcie gdzieś zaułkach?
Niby wiem coś, niby nie wiem...
Wreszcie całkiem mnie znużenie
Zwyciężyło, a na miejsce
Fantastycznych mar półjawy,
Przyszedł zdrowy sen krzepiący.
Śniłem, że w bałową salę
Nagle izba się zmieniła,
W salę, wspartą na kolumnach,
Rozjaśnioną świec tysiącem.
Niewidzialne muzykanty
Grały w niej z Roberta dyabła
Ów grobowy mniszek taniec,
A jam zwolna się przechadzał.
Wtém, otwarły się podwoje,
Jak szerokie, i na salę
Uroczystym, wolnym krokiem
Weszli dosyć dziwni goście.
Same były to niedźwiedzie.
Każdy na dwóch łapach kroczył,
A pod rękę wiódł straszdyło,
Zawinięte w całun biały.
Nagle dziwne owe pary
W walc puściły się szalony;
Był to widok — że choć umrzéc
I ze strachu i ze śmiechu!

Ciężkim misiom trudno było
Dotrzymywać w tańcu kroku
Tym powietrznym marom białym,
Co się niosły jakby tchnienie.
Była to nieznośna męka
Dla tych biednych grubych bestyj;
I wkrótce téż ich sapanie
Zagłuszyło orkiestr tony.
Nieraz, gdy na skrócie sali
Dwie na siebie pary wpadły,
Biedne widmo wzięło w plecy
Łbem niedźwiedzim, albo łapą.
Nieraz téż w zawrocie tańca,
Mniej uważny niedźwiedź zerwał
Biały całun i obnażył
Swój tancerki głowę trupią.
Nagle wzmogła się muzyka,
Wrzasły trąby i cymbały,
Zagrzmiał bęben śpiesznym taktem —
I wszczęła się galopada.
Nie dośniłem już jój końca,
Gdyż niezgrabny tancerz jeden
W sam nagniotek mnie udepnął.
Krzyk wydałem — ból mnie zbudził.

R o z d z i a ł XXII.

Feb w drodze swój słonecznej,
Ćwicząc konie płomieniste,

Przebiegł prawie do połowy
Niebios, zwykłą swoją drogą,
Gdym ja jeszcze leżał w sianie,
Śniąc o widmach i niedźwiedziach,
Śmiésznie z sobą pomieszanych,
Jak dziwaczne arabeski.
O południu się zbudziłem.
Lecz sam tylko byłem w chacie;
Gospodyni i Laskaro
Do dnia wyszli już na łowy.
W izbie mops się gruby został
I przed ogniem przy kominie
Na dwóch łapach stał nad garnkiem
I drewnianą łyżkę trzymał.
Mops ten znał kuchenną sztukę;
Gdy zakipiał w garnku wrzątek,
Szybko męszał go i łyżką
Szumowiny zbierał wzdęte.
Cóż to? czy-m ja sam pod czarem?
Czy mi jeszcze gorączkowo
Głowa krąży? Ledwo wierzę
Własnym uszom! Mops ten gadał
Tak! On gadał! Chociaż jego
Akcent jest akcentem szwabskim.
Jakby w myślach zatopiony,
Jakby senny, tak przemawia: —
„O! nieszczęsny ja poeta!
Na obczyźnie służyć muszę,
Służyć jako mops mizerny
I pilnować garnków wiédźmy.
Co za hańba! W naszych czasach
Czarownice! Jak tragiczna

Dola moja! Czuć po ludzku,
A być psem, być mopsem nędznym!
Obym był pozostał wierny
Naszej swojskiej, szwabskiej szkole!
Ach! tam niema czarodziejów!
Nikt tam ludzi nie czarujel
Obym wiernie był pozostał
Przy Karolu Mayer słodkim,
Przy ojczystej myśli strawie,
Przy ojczystej papce z mléka!
Dziś umiéram tu z tęsknoty!
I zaledwo widziéć mogę
Dym z kominów, gdzie się warzą
Nasze knedle i szweinbraty!...”
Kiedym to usłyszał, wielkie
Zdjęło mnie współczucie. Wstałem,
I pobiegłem do kamina,
I usiadłem tam, i rzekłem: —
„Powiedz mi, szlachetny piawco,
Jakżeś popadł w moc téj wiedźmy?
I dlaczego tak okrutnie
W mopsa jesteś przemieniony?”—
Na to mops z radością wielką: —
„Jako! więc pan nie Francuzem?
Więc pan Niemcem? zrozumiałeś
Cichéj skargi méj monolog?
Ach, mój ziomku! Cała biéda
Poszła ztąd, że radca Kölle,
Gdyśmy w knajpie, kurzące fajki,
Pili piwo i gwarzyli,
Utrzymywał zawsze, jako
W podrózach się tylko człowiek

Poleruje należycie,
Tak, jak on, co właśnie jeździł.
Więc ot, żeby choć z tój pierwszój
Grubój skóry się wylenić
I, jak radca Kölle, chlipnąć
Niecو wyższój światowości,
Pożegnałem się z ojczyzną
I zwróciłem drogę moją
Ku tym góróm Pirenejskim
I ku chacie tój Uraki.
Miałem list polecający
Od Kenera; nie myślałem,
Że ten druh, ten Justyn słodki,
Za pan brat z jędzami żyje...
Przyjacielsko powitany,
Uważałem, że ta przyjaźń
Za gwałtownie jakoś rośnie,
Ba! przekracza wszelką miarę!
Powieм krótko, że w tój jędzy
Zagorzały złe płomienie,
Że, nie bacząc na mą cnotę,
Uwiesć chciała mnie nikczemnie.
Błagam, proszę: wybacz, panil
Ja nie jestem żaden płodny
Żak Goethe'go... Jestem sobie
Z zacnej szwabskich wieszczów szkoły.
Muzą naszą jest przystojność,
A ta muza nosi majtki
Z najtęższój hamburskiej akóry...
Wybacz, panil! Ja nie mogę!..
Są poeci, którzy mają
Ducha, inni znów fantazyę,

Inni jeszcze żar natchnienia —
My, poeci szwabscy, — cnotę.
To jedyne dobro naszeli
O! pozostaw mi płaszcz cnoty,
Co zebraczą nagość moją
Przystojnością swą okrywał
Tak błagałem. Ironicznie
Baba na to się rozśmiała
I haczykiem się od śmieci
Głowy méj dotknęła, śmiejąc.
Nagle czuję jakieś dreszcze,
Tak, jak gdyby gęsia skórka
Członki me powlokła. — Ale
Nie była to gęsia skórka!
Raczej była to psia skóra!
Od téj to nieszczonej doby
Zamienionym jest haniebnie,
Widzisz pan, w nędznego mopsa!...” —
Biedaczysko! Głośne łkanie
Mówić dalej mu nie dało.
Więc gdy płakał tak i szlochał,
Że się prawie w łzach rozpływał —
„Słuchaj pan” — z współczuciem rzekłem —
„Czy nie mógłbym panu służyć,
Z psiej go skóry wyswobodzić
I przywrócić ludzką postać?” —
Podniósł w górę obie łapy,
Jak w zwątpieniu, jak w rozpacz,
I, wdychając i szlochając,
Tak przemówił, we łzach cały: —
„Aż do dnia sądnego będę
Uwięziony w mopsa skórze,

Jeśli czysta mnie dziewica
Nie wybawi z mojej biedy.
Tak, dziewica tylko czysta,
Jako lilii kwiat najbielszy,
Ta wybawić mnie ztąd może,
Jeśli zrobi to, co mówię.
W noc Sylwestra noworoczną,
Niech dziewica owa weźmie
Płody cne Gustawa Pfizer
I tom cały niech przeczyta.
Jeśli wytrwa w tém czytaniu
I nie zaśnie — wolny będę,
Będę wolny, wybawiony,
Człowiekiem się z mopsa stanę!” —
„A! to co innego!” — rzekłem —
„W takim razie sam nie mogę
Służyć panu, — gdyż po pierwsze —
Ja-m nie owa czysta dziewa,
A powtóre - ja bym nie mógł
Płodów cnych Gustawa Pfizer
Naraz tomu przewertować
I nie usnąć przy czytaniu.” —

R o z d z i a ł X X I I I .

Wreszcie zesliśmy w doliny
Z téj gospody czarowniczej,
A nasz krok uchwycił znowu
Pozytywny grunt swój drogi.

Precz widziadła! Nocne mary!
Gorączkowych snów majaki!
Teraz znowu się rozsądnie
Zatrudnimy Atta Trollem.
W jamie swojej, obok młodych,
Leży stary miś i chrapie,
Jako chrapią sprawiedliwi,
Wreszcie budzi się i ziewa.
Obok niego jednouszek
Leży, drapiąc się po głowie,
Właśnie jak poeta, który
Szuka rymu i skanduje.
Dalej, tuż przy ojca boku,
Słodko śniąc, na grzbiecie leżą
Czworonogie lilie białe,
Obie córki Atta Trolla.
Słodkie mary, sny powiędne
Pieszczą dusze te w rozkwicie
Płowych młodych niedźwiedziczek,
W których oku lśni łez wilgoć.
Zwłaszcza młodsza jest głęboko
Czémś wzruszona i w serduszk
Czuje żywe niepokoje,
Jakby strzałę Kupidynka.
Tak jest! bystra owa strzała
Gęste futro jój przebiła,
A ten, kogo Atta Trolla
Córa kocha, jest człowiekiem.
Tak, to człowiek, to Sznapphański.
W wielkiej jakiejś rejteradzie
Przebiegł mimo niedźwiedziczki,
Drogi swój szukając w górach.

Serca kobiet łatwo wzrusza
Ciężka dola bohaterów,
A na licu Sznappańskiego
Widać było wszystkie długi.
Obozowa jego kasa,
Całe dwadzieścia dwa grosze,
Które uniósł był z Hiszpanii,
Wpadła w ręce Espartera.
Nie ocalił ni zegarka,
Gdyż ten został był w lombardzie,
W Pampelunie; pamiątkowy
Klejnót drogi, cały srebrny.
Więc gdy zbieg nasz na swych długich
Nogach sadził wprost przed siebie,
Znalazł więcej, niżli stracił,
Znalazł skarb, — bo znalazł serce.
Tak, ona go pokochała,
Pokochała go, nieszczęsna!
O! gdyby to ojciec wiedział,
Dopierożby ryknął srodze!
Tak, jak stary Odoardo,
Twardy w swój mieszczańskiej pysze,
Zabił Emilię Galotti,
Tak i stary Atta Troll
Raczój by swą córę zdławił,
W swoich własnych zdławił łapach,
Niżby miał pozwolić na to,
By w ramiona księcia padła.
W téj atoli jeszcze dobie
Leży on, tkliwości pełen,
I nie myśli łamać róży,
Zanim burza ją obłamie.

Pełen miękkich uczuć, leży
W jamie stary przy swój dziatwie,
A jakby w przeczuciu zgonu
Tęskność dziwna go przejmuje. —
„Dzieci!”—wzdycha, zafawionym
Wzrokiem wodząc dookoła,—
„Już pielgrzymka moja ziemską
Do swojego kresu sięga.
Dziś w południe miałem we śnie:
Dziwne jedno przywidzenie,
Które mi rozrzewnia ducha
I śmierć rychłą zapowiada.
Nie jestem ja zabobonny,
Ani zbyt łatwo wierny,
Wszakże są na ziemi rzeczy,
O których się ani mędrcom,
Ni zwyczajnym głupcom nie śni.
Zatopiony w myślach ważnych
O początku wszechistnienia,
Chrapnąłem był, aż tu patrzę.
Pod ogromnym drzewem leżę,
A z gałęzi tego drzewa
Kapie miód, jak cukier biały,
I prosto mi w paszczę wpada...
Dotąd czuję rozkosz błogą!
Patrzę w górę, a tam w górze,
Między liście i konary,
Siedem coś niedźwiadków małych
Igra sobie najrozkoszniej.
Lube te stworzenia miały
Futra barwy jasnej róży,
A na karkach włos im długi

W kształcie skrzydeł się podnosił.
Tak, niedźwiadki owe miały
Po skrzydełek jasnych parze
I nadziemsko cienkim głosem
Tak śpiewały, jak fleciki.
Jam słuchając, począł stygnąć,
A tu z zimnej mojej skóry
Wyszła dusza, jako płomień,
I ku niebu się uniosła...”—
Tak przemawiał rozrzewniony
Atta Troll, a potem, chwilę
Pomilczawszy w zadumaniu,
Nagle strzygnął jedném uchem,
Strzygnął drugim i wyskoczył
Z legowiska, drżąc z radości: —
„Dzieci!” — wołał — „czy słyszycie?
Dzieci! nie jest-że to słodki
Głos najmilszej matki waszej?
O, jam poznał to mruczenie!
Muma! czarna moja Muma!”—
Z temi słowy, jak szalony,
Wypadł Atta Troll z swój jamy.
Ha! nie minie, co sązone! —
Wypadł, godząc na swą zgubę.

R o z d z i a ł XXIV.

Tam, w dolinie Ronsewalu,
Na tém samym miejscu, kędy

Siostrzan Karola Wielkiego
Duszę z siebie z krwią wypuścił,
Tam padł wielki Atta Troll.
Padł przez podstęp, jak i tamten,
Co go Judasz ów rycerstwa,
Ganelon, haniebnie zdradził.
Ach! co może być w niedźwiedziu
Najwznioślejszém, miłość żony,
To dlań było śmierci sidłem
W ręku więdźmy, złój Uraki.
Owe mruki czarnej Mumy —
Jój to podstęp, jój udanie;
Ona to z bezpiecznej jamy
Wywabiła Atta Trolla.
Na tęsknoty pędząc skrzydłach
Przez jar dziki, stawał czasem
I w zawałach wietrzył skalnych,
Czy tam Muma się nie kryje.
Ach! Laskaro był tam skryty
Razem z swoją celną strzelbą.
Błysło — i mordercza kula
Wielkie serce to przeszyla!
Krwi czerwonej żygnął strumień,
Niedźwiedź zachwiał się, zatoczył
I łbem na dół runął wreszcie,
Tchem ostatnim szepcąc: Muma!
Tak to padł i tak to zginął
Mój bohater. Nieśmiertelną
Będzie przecież pamięć jego
W pieśniach wszystkich znacznych piewów.
Narodowa pieśń go wskrzesi,
A olbrzymia jego sława

Krążyć będzie poprzez ziemię
Na trocheach czworonóżnych.
Cześć potomnych go umieści
W Walhalli ojczystej chwały,
A na grobie jego taki
Lapidarny napis stanie: —
„Atta Troll. Z tendencją niedźwiedz.
W obyczajach, wierze — prawy.
Wzór małżonków. Duchem wieku
Uwiedziony, pierwszy lasów
Sankiulota. Mierny tancerz,
Ale ideę wzniosłości
W piersi miał. Nie zawsze pachniał.
Nie talent to, lecz charakter!”

R o z d z i a ł XXV.

Bab trzydzieści i trzy stało,
W purpurowych z chust kapuzach
I w baskijskich starych strojach,
U wejścia do górskiej wioski.
Jedna wśród nich, jak Debora,
Biła, tańcząc, w tamburino
I śpiewała hymn pochwalny
Na cześć łowcy, cześć Laskara.
Czterech chłopów jako dęby
Tryumfalnie trup niedźwiedzia
Niosło, w krzesło siedzącego,
Jak gość jaki kąpielowy.

Za nim, niby bliźcy krewni,
Szli Laskaro i Uraka.
Ta kłaniała się publice
W lewo, w prawo, lecz dość chłodno.
Adjunkt mera palnął piękną
Mówkę przed ratuszem miejskim,
Kiedy pochód tam przystanął.
W mównicy dotknął kilku kwestyj,
Jak na przykład — uzbrojenia
Marynarki, dziennikarstwa,
Także kwestyi buraczanów,
Oraz hydry ducha partyi..
Potém, zręcznie pochwaliwszy
Dzieło Ludwika Filipa,
Gładko przeszedł do niedźwiedzia
I Laskara wielkich czynów: —
„Ty, Laskaro” — wołał gromko,
Ociérając pot z oblicza
Szarfą swą trójkolorową, —
„Ty, Laskarol Ty, Laskaro,
Któryś Francję i Hiszpanię
Uwolnił od Atta Trolla!
Tyś bohater obu krain,
Pirenejów Lafayette!” —
A Laskaro, gdy posłyszał,
Że go w taki wielbią sposób,
Popod wąsem się uśmiechnął
I pokrasniał od radości.
Potém, w słowach urywanych,
Które wzajem się szturchały,
Wykrztusił podziękowanie
Za ten wielki, wielki honor!

Z dziwem, z strachem patrzył każdy
Na niezwykle widowisko.
Tajemniczo i trwożliwie
W bok potrąca baba babę: —
„Patrzcie... zaśmiał się Laskarol
Patrzcie... skraśniał ot Laskarol
Patrzcie... słowo rzekł Laskarol
On, syn martwy czarownicy!” —
Tegoż dnia odarto skórę
Z zwłok śmiertelnych Atta Trolla.
Kuśmierz jeden ją zakupił
Za sto franków od Laskara.
Wnet wyprawił ją kunsztownie,
I szkarłatem obramował,
I sprzedał ją znowu dalej,
Ale już w podwójnej cenie.
Z trzeciej ręki coś dopięro
Dostała ją piękna Julia
I w sypialni swój, w Paryżu,
Przed łóżkiem ją rozpostarła.
O! jak często bosą stopą
Deptalem tę miękką skórę,
Tę doczesnych dni powłokę
Szlachetnego Atta Trolla!
I, przejęty nagłym smutkiem,
O! jak często wraz z Szyllerem
Myslałem: „Co żyć ma w pieśni,
Musi wpiérw przeminać w życiu.”

R o z d z i a ł X X V I .

A cóż Muma? Ha, cóż! Muma
Jest kobietą — i „Ułomność”
Jest jój imię. Ach, kobiety
Są ułomne, tak, jak fajans.
Kiedy losu ręka twarda
Rozdzieliła ją z małżonkiem,
Nie umarła z troski, z żalu,
Nie dostała melancholii,
Lecz, przeciwnie, sama dalej
Prowadziła życie skoczne,
Tańcząc w rynkach i przyjmując
Luźne hołdy, luźne związki.
Los jój wreszcie się ustalił
I znalazła byt spokojny,
Na paryzkim żyjąc bruku,
W *Jardin des Plantes* owym znanym...
Gdym tam przeszłej był niedzieli,
Gwoli mojej pięknej Julii,
I objaśniał jój naturę
Roślin, zwierząt różnorodnych;
Gdym jój mówił o żyrafie,
O libańskim cedrze wzniosłym,
O wielbłądach, o bażantach
I o zebrach pręgowanych, —
Stanęliśmy jakoś blisko,
Tuż przy kracie owej bramy,
Gdzie niedźwiedzie rezydują,
I — o nieba! — cóżem zoczył!

Oto wielki niedźwiedź wschodnio-
Syberyjski, śnieżno-biały,
Zabawiał się nader tkliwie
Z jakąś piękną niedźwiedzicą.
Była to — niestety — Muma.
Poznałem ją po wilgotnym
Blasku pięknych czarnych oczu.
Tak, to ona! Tak, to Muma!
Ta południa piękna córa
Żyje teraz.

.
Wtém przemówił do mnie przez nos
Murzyn, który tam się zbliżył: —
„Jest-że widok gdzie piękniejszy,
Jak ta miłość dwojga istot?” —
Na to ja: — Z kimże mam honor
Tak czarowną myśl wymieniać? —
„Jakto” — odrzekł zadziwiony
Murzyn — „alboż pan mnie nie znasz?
Ja to jestem *Czarny Książę*,
Który bębnił w Freiligracie.
Lecz mi jakoś nie szło w Niemczech,
Czułem się osamotniony.
Ale tu, gdzieś za dozorcę
Przystał i gdzie widzę drzewa
Mój ojczyzny zwrotnikowej,
Oraz nasze lwy, tygrysy, —
Tu o wiele jest mi różniej,
Niż tam u was, w waszych Niemczech,
Gdzieś codziennie bębnić musiał,
A dość lichy był żywioný.
Właśnie-m świeżo się ożenił

Z kuchareczką blond z Alzacyi —
I tak jakoś w jój objęciu
Całkiem się tu przyswoilem.
Nogi jój są mi obrazem
Stóp słoniowych, a gdy mówi
Po francuzku, to tak właśnie,
Jakbym ojców słyszał mowę.
Czasem chrapie; wtedy sobie
Ową trąbkę przypominam,
Co, czaszkami obwieszona,
Odstraszała lwy i węże.
Czasem płacze; wtedy myślę
O łzach naszych krokodyłów,
Co czyhają z ciepłych bagien,
Aby zdobyć jaką chwycić.
A gotujel!.. Smaczny kąsek
Umié zrobić kąskiem strawnym.
Odzyskałem znów apetyt,
Mój apetyt afrykański.
Już i brzuszka się dorabiam,
Co wygląda mi z koszuli,
Jakby krągły miesiąc czarny,
Gdy z za białych chmur wyziéra...”

Rozdział XXVII.

Do Augusta Barnhagena von Ense.

„Zkąd u licha, messer Luigi,
Wygrzebaliście te wszystkie
Wasze głupstwa?” — Temi słowy
Ozwał się kardynał Este,
Gdy przeczytał był ostatnią
Pieśń „Orlanda Szalonego,”
Co go Ariost najpokorniej
Złożył Jego Eminencyi. —
Barnhagenie! Druhu stary!
Na twych ustach dzisiaj widzę,
Ot, te same prawie słowa,
A i uśmiech ten sam prawie.
Czasem uśmiech w śmiech przechodzi
Przy czytaniu; wkrótce jednak
I zadumą i wspomnieniem
Mroczy się twe wielkie czoło: —
„Nie jest-że to sen ów młody,
Który śniłem wraz z Chamissem,
Wraz z Brentanem i Fouqué,
W modre noce księżycowe?...
Nie są-ż to tych dzwonów dźwięki,
Co w kapliczce leśnej biły,

Z którymi się mięsza nagle
 Brzęk błazeńskiej czapki dzwonek?
 W śpiew słowiczy, w śpiew natchniony
 Wpada basem mruk niedźwiedzi,
 Głuchy, groźny, i znów ginie
 W szmerach, w szeptach mar kamiennych.
 Szał — tu toę mędrca nosi,
 Mądrość — napad ma szaleństwa,
 A westchnienia konających
 W wybuch śmiechu się zmieniają!..” —
 Tak, mój bracie. To są dźwięki
 Dawnych snów i dawnych czasów...
 I współczesne tylko tryle
 Ton naczelny ich maskują.
 Tu i tam, wskrós słów swawoli,
 Znajdziesz stary świat ukryty,
 Twemu téż wyrozumieniu
 Pieśń tę zlecam i oddaję.
 Ach! to może już ostatnia,
 Pieśń ostatnia romantyki!
 W dniach, co walczą ogniem, mieczem,
 Przyjdzie przebrzmieć jój bez echa!
 Inne czasy, inne ptaki!
 Inne ptaki, inne pieśni!
 Co za wrzask! jak gdyby gęsi
 Znów Kapitol wybawiły.
 Co za wrzawa! Niby szpaki,
 Niby kawek stada w słotę;
 A udaje to Jowiszów,
 Orłów upiorunowanych...
 Co za hałas! Te turkawki
 Nienawidzić pragną oto

I z zaprzęgu słodkiej Wenus
Chcą iść — wóz Bellony ciągnąć.
Co za brzęk! Wstrząśnienie świata!
Ha! to wielkiej jakiejś wiosny
Kolosalną wzrostem chrząszcze,
Upojone żądzą życia...
Inne czasy, inne ptaki!
Inne ptaki, inne pieśni!
Możebym i ja je lubił,
Gdybym inne mógł mieć uszy!

KONIEC.





SŁÓW PARĘ

○ „ATTA TROLL’U”

Henryka Heinego.

1.

Poznawszy oryginalną treść poematu Henryka Heinego, czy tolnik zastanawia się mimowoli, jaką to postać rzeczywistą poeta próbował ukryć pod skórą prostego niedźwiedzia? Kim jest ów Atta Troll? Zakreślając drobnymi rysami charakter swego bohatera, Heine nadmienia ironicznie, iż czasem wzniesionym mu zostanie w Walhalli posąg, z napisem w stylu właściwym:

Atta Troll. Z tendencją niedźwiedz.
W obyczajach, wierze — prawy.
Wzór małżonków. Duchem wieku
Uwiedziony, pierwszy lasów
Sankiulota. Mierny tancerz,
Ale ideę wzniosłości
W piersi miał. Nie zawsze pachniał.
Nie talent to, lecz charakter.

(Str. 77.)

Kimże więc jest Atta Troll? Atta Troll to zwykły filister niemiecki, cnotliwy, wolnomysłny i kochający ojczyznę; nosi szeroko-skrzydłe kapelusze, gimnastykuje się zawzięcie, żywi wzdurliwe lekceważenie dla narodów pochodzących z sepsutej krwi łacińskiej i wystrzega się sumiennie skażenia rodzinnej swój mowy dźwiękiem obcego języka. A ponieważ w Niemczech szkoła romantyczna przywłaszczała sobie monopol cnoty, wolnomysłności i patriotyzmu, najzapaleńszymi zaś romantykami byli poeci szwabscy, Atta Troll więc jest satyrą romantyzmu wogóle, a szkoły szwabskiej w szczególności. Pomimo tego rzecz dziwna, dla mnie mały poemcik wiérsem Heinego wydaje się podobnym do wielkiego poematu prozą Michała Cervantesa. Atta Troll jest jeszcze, jak sam poeta

zapewnia nas o tém, ostatniém wolném pieniem romantyzmu (das letzte freie Waldlied der Romantik): „Zadawszy cios śmiertelny, — mówi autor w swoich *Wyznaniach*, — wamiliowaniu do pdezyi romantycznej w Niemczech, sam porwany zostałem miłością nieskończoną do niebieskich migdałów, spotykanych w kraju marzeń romantycznych, ujawszy zaś lirę zaczarowaną, uderzyłem w struny pieśnią, unoszącą mnie w krainę egzaltowanych wpojęń, zachwyttów nad światłem księżycy i rójek gziwacznych, w które tak obfituje ukochana przez mnie muza. Wiem, iż był to pożegnalny śpiew czystego romantyzmu i że ja byłem ostatnim prawdziwym szkoły téj poeta.”

Atta Troll jest zatem ginącym typem błędnego rycerza, rodzajem don Kiszota niemieckiego. Aby zaś satyra wypadła świetnie, autor użył strof właściwych romanzom hiszpańskim, cudownej formy i mfiary, w których od opowiadania epicznego, zaprawionego komizmem, wznosił się z największą łatwością i powodzeniem do liryczno-fantastycznego polotu.

Powiedziawszy, iż Atta Troll ma nam przedstawiać zwykłego filistra niemieckiego, zmuszeni jesteśmy wytłómaczyć się, co pod wyrazem tym rozumiemy. Czytelnik zechce sobie przypomnieć, iż Filistyni był to mały naród zamieszkujący Syryę i prowadzący długotrwałe wojny z sąsiednimi Hebrajczykami; naród złożony z jednostek tęgich, ślinych, lecz o umyśle słabo rozwiniętym i pospolitemi nacechowanym instynktami, podczas gdy kilkakrotnie zawojowani przez nich Hebrajczycy, którzy porażki swe tak dobrze mścić umieli, przedstawiali lud wybrany, lud pełen światła, lud cywilizacyi i postępu. Czytelnik przypomni sobie również, ile to tysięcy zabił Samson prostą osłą szczęką; zapamięta, iż mały Dawid, mając procę za broń całą, wystąpił przeciw filistyńskiemu wielkoludowi i olbrzyma Goliata niewinnym kamyczkiem na ziemię powalił, a wyrwawszy miecz z rąk jego, odcłął nim głowę przeciwnika, by z tryumfem do swego powrócić obozu. Wspomnienia te, odżywiając w pamięci czytelnika, każą nam widzieć oczyma duszy obraz rasy ludzkiej silniejszej, lecz pospolitej, pozbawionej wszelkiego wdzięku i polotu, zaufanej we własne siły, upartej, zarozumiałej, aroganckiej. Sądzę, iż każdy przyzna mi słusność, że obraz to wiernie odzwierciedlający przedstawicielei dzisiejszego ducha germańskiego, chcących rozumem wszystko objąć i wszystko zwyciężyć. Rys ten zaś musiał wybitnie uzmysławiać całą rasę germańską, skoro, rozszerzając znaczenie alegoryczne słowa *Filistyn* i zmieniawszy je na potoczne *filistar*, studenci niemieccy nie tylko sztydził za jego pomocą z młodzieży prowincjonalnej, lecz drwiący ów przydomek nadawali przeciwnikom swym w sztuce, polityce i filozofii.

Nie tylko w każdym narodzie, ale w każdej warstwie społeczeństwa ludzkiego, w każdej szkole, kółku, stowarzyszeniu — filistrzy istnieli i istnieć muszą. Poznać ich bardzo łatwo po pewnej powadze, nieoddzielnej nigdy od pospolitej grubiańskiej ociężałości, która zdaje się być nieodzowną, przez matkę naturę umyślnie dla nich stworzoną powłoką. Bez względu na to, czy zaliczają się do romantyków

czy do klasyków, liberalów czy absolutystów, postępowców czy wsteczników, rojalistów czy republikanów, wierzących czy ateuszów, odnajdziesz w nich zawsze cechę akademicko-pedantką z lekkim odzieniem sielskości. Krańcowy to kontrast swobody, prostoty, wdzięku i wytworności; filistrzy też nienawidzą technienia gongfusa, który nie dba i szydzi z prawideł, jakimi oni rzecz każdą krepują. Ztąd też filistrzy nibdziaccy musieli patrzeć z świętym oburzeniem, zą zgrozą, na Henryka Heinego, ten umysł genialny, przenikliwy, kapryśny i śmiały nad wszelki wyraz, Henryk Heine zaś musiał znowu stać się najzacieźszym i najstraszniejszym ich wrogiem. Fakt ten tłumaczy nam całą doniosłość działalności jego literackiej, która, jak to już zauważył Arnold, była ciągłą, śmiertelną i nieustającą walką przeciwko filisterstwu niemieckiemu, walką trwającą tak długo, jak życie autora.

Z trzech wielkich narodów, przodujących dzisiaj ludzkość na potu umysłowém, dwa tylko, to jest angielski i niemiecki, zostały hojnie obdarzone przez naturę cechami filisterstwa; Francuzi posiadają ich najmniej może ze wszystkich ucywilizowanych ludów Europy. Ztąd wstręt Heinego do Anglików, ztąd te zatrute strzały, które rzucił tak hojnie na prawo i na lewo, nie oszczędzając nawet swoich, zarówno szacownych i dzielnych ziołków; ztąd szczera jego ku Francyi sympatya. Co do mnie, wierzę, że nie tylko przyczyny polityczne kazały mi iść na wygnanie do Francyi i za drugą usnąć ją ojezyczną, przez osiedlenie się w niej bowiem na zawsze zarówno polityczną jego natura, jak artystyczne upodobania znalazły śpiópiéro atmosferę, w której mógł oddychać swobodnie. Czyż nie on-to nazywa Paryż *trwą Jerozolimą*, a *Ren Jordaniem, oddzielającym świętą ziemię wolności od kraju Filistynów?*

Jeżeli udało mi się odtworzyć w umyśle czytelnika pojęcie filistyna, a raczej filistra, w takim razie odczuje on sam, bez moich słowódzeń nawet, iż niedźwiedz Heinego, to tylko szczęśliwe i zręczne zamysłowanie tej idei. Wyobrażam sobie, jak wielką musiała być radość artysty, gdy, ujrawszy poraz pierwszy tańczącego misia, mógł zawołać w duchu: Zwycięztwo! Znalazłem nareszeie typ pożądany, typ mego filistra! Radość złośliwa może, lecz tak silna, iż wobec niej wszelka inna agasnąć musiała, okrzyk ten bowiem pochodził z zadowolenia wewnętrznej potrzeby ducha. Geniusz to, jeden z tych szczęśliwych fenomenów przyrody, które — wyższe nad małostki — nie chyłły głowy przed drobną marałością ludzką. Mówię „drobną,” odróżniam ją bowiem od wielkiej moralności natury, której prawom najśmielsze nawet umysły nie odmawiają posłuszeństwa. Istnieją naturalnie osoby, znajdujące w śmiałym polocie wieśszeza źródło do niewyczerpanego gniewu i niezadowolenia; ciasną takie głowy krzyczą — rzecz prosta — na niemoralność, ale przecież i słońce staje się latem przyczyną utrapień dla wielu osób, powoduje nawet śmierć niekiedy, a jednak nikt nie ośmielił się dotąd oskarżać słońca o niemoralność, lub żądać, by je wygnano z nieba.

Zaznańczyłem już, iż znaczna część filistrów, sumganych przez poetę biczem satyry, nosi—ogólnie biorąc—cchę poetów ludźmi. Niepozabawieni zalet, oddają oni nawet szkole, do której należą, polityczne, literackie i społeczne usługi. Nie wstydząc się, iż do szkoły takiej sam kiedyś należał, poeta z pewnym upodobaniem nawet przypomina to w ostatnim śpiewie Atta Troll'a, nazywając poemat swój oddźwiękiem snów młodzieńczych, przemarzonych wspólnie z Chamissem, Brentanem i Fouqué'm pod sklepieniem nocnego błękitu, osrebrzonego jasnym blaskiem księżycy. Tylko, że towarzysze ci jego zatrzymali się wpośród drogi, podczas gdy on szedł ciągle naprzód i naprzód. Pomimo tego jednak, nikt nie mógłby wątpić o zasługach takich wybitnych poetów romantycznych jak: Novalis, Tieck, Eickendorf, Werner, Arnim, Immermann i Wilhelm Müller. Nie zapoznaje ich też sam Heine; przeciwnie, w książce swjej p. t. *Niemcy*, mówi o niejednym z nich krytycznie, już-to w sposób złośliwy, już przychylny. Gdyby arezta szkoła romantyczna nie miała na czele żadnych imion, prócz nazwiska Ludwika Uhlanda, to ono samo jeszcze należy do tych, które przynoszą zaszczyt nietylko jednemu kierunkowi lub jednej prowincyi, ale narodowi całemu. Nawet Goethe, nie znosząc do tego stopnia szkoły romantycznej, iż raz powiedział do Eckermana: „nazywam klasycznym to, co jest zdrowe, miano romantyzm zaś chowam dla utworów chorobliwych;” nawet Goethe, tak surowy dla pierwszych próbek poetyckich Uhlanda, oddawał mu później zupełną sprawiedliwość. Ganiąc w roku 1832 poetę za zhytnie oddanie się zyciu politycznemu, powiedział on jeszcze do tego samego Eckermana: „Wstyd, że sprawy podobne odrywają go od pieśni. Szwabii nie brak ludzi wykształconych i dobrane myślących, wiernych i wymownych, wśród których można poszukać mężów staru, wieszczą zaś takiego, jak Uhland, ma'ona tylko jednego.”

Jakkolwiek też Heine mówi o nim w swoich *Niemczech* tonem, który z pewnością nie wzbudził rozczenia, ani zachwytu w piersi niemieckich wielbicieli szwabskiego poety, jakkolwiek utrzymuje, że dziewice i rycerze w romansach Uhlanda są istotami z mgły, a nie z ciała stworzonymi, chociaż nazywa go, *nie ojcem, lecz synem szkoły romantycznej, w której poczerpnął koloryt, zamiast jej udzielić takowego*, niemniej jednak tenże Heine zmuszony jest przyznać Uhlandowi wielkie przymioty i zasługi poetyckie. Mówił też o nim w następujących słowach: „Szwabia szczęśliwą i dumną może być z Uhlanda; gdziekolwiek też sięga niemiecka mowa, wszędzie powinny rozbrzmiewać szlachetne słowa wieszczą. Duch jego łączy wszystkie cechy dodatnie poezyi lirycznej, publiczność więc zdola w jednym tym człowieku odnaléć i uczyć najwyższe zalety szkoły romantycznej. Być może, iż dlatego cenię go i kocham tak serdecznie że wkrótce już zapewne przyjdzie mi się z nim rozstać na zawsze.” Heine pisał to mniej więcej w tym samym czasie, gdy Goethe wypowiedział słowa powyżej przytoczone do Eckermana. Szczególny zbieg okoliczności i szczegóły przepowiedniał A chociaż Uhland żył jeszcze późnój blisko lat trzy-

dzieści, z pod jego pióra nie wyszedł żaden już utwór godny wielkiego poety; do wawrzynu wieszczą najmniejży nie przybył listek.

Prócz Uhlanda, w dziele Heinego spotykamy jeszcze pochwały dla Gustawa Schwaba i Justyna Wernera, dwóch piewców, którzy mocą talentu i zasługi zajęli w szkole szwabskiej wybitne również miejsce. Nie przeszkodziło mu to napisać w pięć lat później znanego *Schwabenspiegel*, tej strasznej satyry na adeptów powyższej szkoły, satyry, w której tak naprzykład przemawia: „Najwybitniejszym z poetów szwabskich jest pasterz ewangeliczny, Gustaw Schwab. Istny to ślédz w porównaniu z innymi, którzy przedstawiają się tylko jako indle sardyńki, sardyńki pozbawione soli, ma się rozumieć. Stworzył on parę pięknych piosenek i kilka wdzięcznych balad; rzecz prosta jednak, iż nie godzi się go porównywać do takiego wieloryba, jak Schiller. Pierwsze po nim miejsce zajmuje doktor Justyn Werner, który, opłatany spirytyzmem, opowiadał raz naprzykład publiczności z całą powagą, iż para pantofli zupełnie sama, bez żadnej pomocy opuściwszy zwykłe miejsce, szła z wolna. aż pomaleńku, pomaleńku zaszła do łózka prorokini Prevorst. Wobec tego łatwo przypuścić, że następnej nocy własne jego buty mogły przespacrować się znowu przed czyjeś łózko, deklamując równocześnie tajemniczym głosem skóry poezye pana Justyna Wernera. Ostatnie jego pieśni nie należą zresztą do najgorszych, tak, iż nie odmawiając człowiekowi temu wszelkiej zasługi, można by powtórzyć o nim słowa Napoleona, skierowane do Murata: „Wielki to szaleniec, ale zarazem najlepszy generał kawalerji.”

Najwięcej jednak sarkazmu i zółci wylał Heine na Karola Mayera i Gustawa Pfizera, dwóch poetów uważanych również za filary szkoły szwabskiej. Poczciwi ludzie, lecz wieszczę miernego poziomu, nie wybiegali oni niczém nad zwykły poziom, co zresztą, z wyjątkiem Uhlanda, da się zastosować do najlepszych nawet sił tej szkoły. „Wybitnym jój rysem”—mówi G. Heinrich—„jest pewna spokojna dohoduszność, zamiłowanie do godziwych i dozwolonych przyjemności, pogodny, umiarkowany patryotyzm, oraz subtelne i żywe pojmowanie otaczającej ich przyrody. Patryotyzm ten wszakże ogranicza się do ciasnych granic własnej prowincyi; podziwiana zaś tak i kochana natura ma dla nich urok jedynie w otoczeniu małego Württemberg.”

Łatwo zrozumieć, że szkoła o podobnych cechach znamienych musiała obudzić wstępną w Heinem; pastwił się też w sposób nielitościwy i okrutny nad rzekomém jój filisterstwem. Kto chce wiedzieć, w jaki sposób ukaranym został Pfizer, ten niech przeczyta rozdział XXII w *Atta Trollu*, gdzie, zamieniony w psa czarownicy, bard szwabski opowiada swoje przygody, których główną podstawą jest fakt, iż zaczarowany złośliwie, władę dopiero będzie mógł porancić zwierzęcą powłokę i przybrać napowrót kształty ludzkie, gdy znajdzie się dziewica, która zdołałaby w noc sylwestrową odczytać poezye jego bez zaślnięcia.

II.

Atta Troll jest zatem, jak to widzimy, satyrą, wymierzoną w najdrobniejszych nawet szczegółach przeciw flisterstwu niemieckiemu. Że w założeniu jej i przeprowadzeniu można odkryć częstokroć pobudkę osobistej natury, ślad gniewu i urazy własnej, temu nie myślimy przeczytać bynajmniej; trudno nam się jednak zgodzić z sądem Sekand'ta, który widzi w Heine'm polemistę głównie. „Heine” — mówi on — „wyszukiwał z kobiłą iście przenikliwością najmniejsze błędy i niedostatki swoich przeciwników, rozdrażnienie jego wszakże pozbawioném było siły i trwałości, wielka bowiem nienawiść może się zrodzić tylko z zachwianej miłości lub wiary.”

Z założenia tego wynika, iż polemiczne pisma Heinego przeciwko Menzel'owi, Börne'mu, Platen'owi, Massmanowi i wielu innym, posiadają nader niską wartość literacką, gdyż są owocem obrażonej miłości własnej, a nie głębokiego przekonania. Co do mnie, nie piszę się bynajmniej na zdanie powyższe. Znaczna część polemicznych utworów Heinego równa się w mojem przekonaniu najlepszym satyrom, zalety ich zaś należy przypisać tej właśnie przenikliwości iście niewieściej, z jaką Heine umiał odkryć i uderzać w najdrobniejsze wady swoich przeciwników, w najdrażliwsze ich słabostki, oraz innemu, niemniej ważnemu, przymiotowi, mianowicie zdolności podchwytywania strony komicznej w każdej rzeczy, patrzenia z punktu humorystycznego i żartobliwego na najpoważniejsze nieraz kwestye. Dwa te rysy charakterystyczne były posunięte w Heinem do najwyższego stopnia, a proszę powiedzieć, na czém-że inném polega potęga pisarzy satyrycznych? Potrzeba nienawidzenia nie jest tu, o ile mi się zdaje, konieczną. Bo czyż największe, a raczej najsilniejsze utwory satyryczno-komiczne, budząc w czytelniku niepokonaną wesołość, są tylko wynikiem głębokiej nienawiści? Rzecz każda posiada stronę, nadającą się do wyśmiania, bez niej bowiem karykatura istniećby nie mogła, karykaturzysta więc powinien ją tylko umieć pochwycić i odtworzyć zapomocą soczewki powiększającej. Przypuszczam, iż w umyśle Heinego istniało maleńkie zwierciadelko tego rodzaju, które podnosiło i przesadzało mimowoli najdrobniejsze wady tych, co się w niem na chwilę odbili. Pełne też światła i barwy słowa poety są tylko fotograficznem odtworzeniem tych sylwetek; co tłumaczy nam zarazem, iż talent satyryczny był u niego rzeczą wrodzoną, ziarnem przez naturę do duszy rzuconém. Po cóż miałby nienawidzić swoich przeciwników? Widział ich poprostu ze strony śmieśznej, i w ten-

że sposób malował. Przeciwnie, dlatego właśnie, iż w głębi jego satyr nie ma wcale nienawiści, przebaczymy mu chętnie, że zmusza nas do śmiania się z ludzi, których z każdą kochamy i poważamy nawet.

Jeden z krytyków francuzkich utrzymuje, iż Heine przeszedł przez wszystkie szkoły, należał do wszystkich grup literackich swego czasu—po to jedynie, by je następnie wyszydzić, spisując kronikę skandaliczną porzuconego kierunku. Jest w tém dużo prawdy; sąd wszakże, wypowiedziany w sposób tak surowy, rzuca zbyt ponure światło na poetę, przedstawiając jako wynik niskiego charakteru to, co było tylko oznaką wolnego i żadnych więzów nieznoszącego ducha. Każda szkoła literacka, bez względu na cechującą ją swobodę myśli, kończy zawsze przyswojeniem sobie pewnych form i praw niezłomnych, które z czasem spychają ją do ram konwencyonalizmu. Dzieje poezyi romantycznej we Fraucyi i w Niemczech aż nadto popierają prawdę słów moich. Cóż więc znaczą wyrazy Justyna Kernera: „My nie jesteśmy żadną szkołą; każdy z nas przedstawia odrębnego ptaka, który własnym śpiewa dziobem.” Fakty przeczą wprost podobnemu twierdzeniu. Umysły średniej miary, lub te, które nie zbyt silnie odczuwają potrzebę indywidualności, poddają się z czasem prawom szablonu, sądząc, iż w ten sposób właśnie składają dowód swojej niezależności. Takie jednak zrzeczenie się cech własnych niemożliwem jest dla talentu, czującego żywo swoją wyższość, niepodobnem dla takich, jak Henryk Heine, ludzi. Istnieje też wielka różnica pomiędzy zmianą przekonań, spotykaną u niego, zmianą, wynikłą wskutek nowych idei, jakie mocą wewnętrznój pracy ducha srodziły się w jego umyśle, a niestałością pewnych literatów niemieckich, przyjmujących bez rumieńca wstydu upokarzającą służbę w szeregach absolutyzmu

Zkąd wypływał prąd ożywczy, gorący, gdzie ukazał się brzask szlachetnych, pełnych uniesień poglądów, tam biegł wrażliwy dach Heinego; równocześnie jednak nie myślał on przyłączać się do żadnej szkoły, do żadnego stronnictwa, nie miał zamiaru podnosić zasad jego, jako czczonego sztandaru, nie przypuszczał nawet, aby go to zobowiązywało do zrzeczenia się osobistej wolności i wrodzonego indywidualizmu. Dlatego też należał najpierw do szkoły romantycznej, później zaciągnął się pod znaki *Młodych Niemców*, dalej pisał wiernie, według których trzebaby go zaliczyć do socyalistów, wkońcu zaś skrytykował romantyków i wyszydził bez miłosierdzia zarówno liberałów, jak socyalistów i sankiulotów.—Zwątpiwszy, abym następujący krótki wrywek zdołał oddać wierszem, próbuję przetłumaczyć go prozą, w nadziei, iż czytelnik przyzna mi, że nigdy obraz nędzy nie był z większą odmalowany siłą, że żaden z poetów socyalistycznych nie zdołał napisać nic podobnego. Jęk ten wstrząsa do głębi, przenika do kości, najgłębiej nawet ukrytych pod tłuszczem i muskułami.

„Zimny wiatr nocny wpadał ze świstem przez okienko poddasza, gdzie na sienniku leżały dwie białe istoty, wynędzniałe, mizerne i blade.

Jedna z nich mówiła:

— Otocz mnie twemi ramionami, a usta twoje do moich ust przyciśnij; chciałabym się rozgrzać twém tchnieniem.

— Gdy ciebie mam przed oczyma — brzmiała odpowiedź nie-
szczęśliwego, — cała moja niedola pierzchać się zdaje. Nędza, głód,
siłano znikają chwilowo.

I upojeni szczęściem tém, iż ciężkie chwile mogli znieść we
dwoje, śmieli się dużo, płakali jeszcze więcej, całowali się i wzdychali,
żartowali nawet i śpiewali niekiedy, aż wreszcie zamilkli oboje.

Zrana przyszedł komisarz, a z nim dzielny lekarz, który stwierdził
tragedywnie śmierć dwu zesztywniałych już trupów.

— Ostry mróz — tłumaczył doktor, — połączony z brakiem wszelkiego
pożywienia, stał się powodem zgonu obojga, a przynajmniej przyspieszył go w
gwałtowny sposób.

Bo téż z nastaniem zimy należało — według jego zdania —
ubierać się w ciepłe wełniane suknie i jeść posilne i zdrowe potrawy.

Wiktor Hugo wyrzekł w *Nędznikach* słynne słowa: „*Oh, la faim, c'est le crime public!*” Jest to krzyk sumienia ludzkiego przeciw okrutnej niesprawiedliwości świata. A jednak, jakże słowa te wydają się
błędami i bezsilnemi, w porównaniu z zimną ironią, zawartą w wierszu
Heinego! Tenże sam wszakże Heine, ujrzawszy, iż idea powyższa
podjęta została przez niezręcznych filistrów polityki i socjalizmu,
stracił cierpliwość i, niezdolny oprzeć się pokusie, nakreślił karykaturę
Jerzego Herwegha, szydząc równocześnie z sympatycznego i szlachetnego
Hoffmana von Fallersleben. Tenże sam Heine wreszcie, opowiadający,
iż całował i cacił jak relikwię kajdany, odjęte z rąk krawca, Jana
Bockbold, znalazłszy się wobec krawca również, Wirtlinga, i widząc,
że ów naczelny przewodnik komunistów niemieckich traktuje go jak
równego sobie, że mu opowiada z całą swobodą szczegóły zamknięcia
swego i uwięzienia, — tenże sam Heine, powtarzam, nie umiał powstrzymać
wylotu żółci. Jakaż tego przyczyna? Oto najmniejszy cień pospolitości
drażnił go, oburzał, najłżejszy rys filisterstwa przyprawiał o utratę
panowania nad sobą.

Politycy niemieccy, którzy — według słów Schmid'a — zrobili z
Heinego sztandar opozycyjnego działania, powinni byli spostrzedz się,
jak wielką popełnili pomyłkę, biorąc za przewodnika swego stronnictwa
osobnika, który mógł być wielkim poetą, ale poetą tylko. Dozreśli do
tego przekonania, potrafilo oni — rzecz prosta — mścić się za błąd
własny, odpłacając szyderstwa Heinego przesadnemi obelgami i
wzgardą.

III.

Gdy urywki *Atta Trolla* ukazały się po raz pierwszy w *Elegante Welt*, dzienniku wydawanym przez Henryka Lanbego, przyjaciela poety a zarazem jednego z gorących adeptów *Młodych Niemiec*, treść ich wywołała straszną wrzawę i obrzucenie wśród liberałów niemieckich. Nie oszczędzono żadnej obelgi, żadnego oskarżenia profanów, który ośmielał się drwić zarówno z wolnomyślnych swych złomków, jak i z najszlachetniejszych ich aspiracji. „Nigdy nie byłbym uwte-
raył—mówi Heine,—aby Niemcy mogły posiadać tyle zgnitych jabłek, ile ich ówczasnie na moją głowę rzuconol” Trzeba zaś dodać, iż w wielkim tym buncie złączyli się przeciw niemu nieprzyjaciele barw wszelkich. Nie powtarzając jednak słów autora, znanych z przedmowy do *Atta Trolla*, zobaczymy, co mówi o nim Józef Hillebrand w *Historji literatury niemieckiej XVIII i XIX wieku*. Sąd jego, jakkolwiek niezmiernie surowy, zasługuje na uwagę:

„Heine”—dowodzi on—„stanowi istny kontrast, dziwne połączenie charakteru niemieckiego z usposobieniem francuzkiém. Poesya, ta delikatna roślina, nie była może nigdy obrażana taką lekkością i lekceważeniem, jakie on jój przynosi. Umie poruszyć najdelikatniejsze struny; często jednak nader dźwięki łagodne i tkliwe nikną, zmrożone chłodem zimnej ironii; stwarza i ożywia najszlachetniejsze postacie wykończono po to tylko, by na wykończenie doskonałe rzucić się jak szaleniec i jedném zmiążdżyć je uderzeniem. To, co Heine mówi o wieszczu angielskim Byronie, daje się w zupełności zastosować do niego. Jest to poeta, do którego bogi w kołysce już uśmiechały się przyjaźnie, lecz zapal ściągnął go często zbyt daleko. — — — Praywykił on tak drwić ze wszystkiego, iż prócz własnej próżności i upodobania w satyrze, nie bezkarnie oczu jego nie uszło. Lekka jego muza bawiła się, tańcząc w dziedzinie religii, sztuk pięknych, nauki i spraw społecznych; deptała stopą wzgardliwą wyżyny i łamała kwiaty. Nawet wolność, na cześć której śpiewał zawsze pochwały, nie mogła ująć parodji.”

Mówiąc o porównaniu, zrobioném między Byronem a Heinem, Hillebrand znajduje w nich tę wielką różnicę, że podczas gdy smutek i ból Anglika płynie z piersi, w której bije głęboko czujące serce ludzkie, u Niemca uczucia te są tylko ludzającym pozorem, prostą kokieterją; podczas gdy tamten wznosi się w sceptycyzmie do wyżyn podniosłych, ten krąży o wiele niżej, nie odrzucając cech najpospolitszych nieraz. „Jednego opanowuje jakiś duch demoniczny, dru-

gim władza geniusz żartu i humoru, wraz z całym bogactwem barw swoich; pierwszym rządzi natchniona siła twórcza, w drugim dar refleksyi krępuje wyobraźnię, a nawet częstokroć wstrzymuje czyste jej źródło." O *Atta Trollu* mówi dalej, iż, autor musiał sam uznać, o ile żart uwłaczający jego ojczyźnie zadaleko posunięty w nim został, skoro zmuszonym był oświadczyć, że nie miał zamiaru obrażać uczuć patriotyzmu i ludzkości, a chciał jedynie wyszydzić pospolite i nędzne pojęcia, jakie sobie o ideach tych wytworzyli jego współcześni."

Niech mi wolno będzie zrównoważyć surowość tego sądu przytoczeniem zdania znamienitego krytyka angielskiego, Mateusza Arnold'a, który, przeprowadzając porównanie między Byronem a Heinem, oddał temu ostatniemu bez wahania palmę pierwszeństwa, zachowując zhyt ostre może zarzuty dla swego współziomaka.

„Wśród ruchu literackiego na początek bieżącego stulecia” — mówi on — „pierwsi Byron i Shelley spróbowali ożywić poezję angielską technieniem współczesnym. Usiłowanie to nie mogło przynieść pożądaných skutków, spotkało bowiem nietylko opór u publiczności, ale zarazem brak inteligentnego zrozumienia i sympatyj, któraby nióm kierować i podtrzymać je mogła. Anglia nie posiada w przyswajaniu sobie nowych idei ani głębokości umysłu właściwej Niemcom, ani zapala Francuzów. — — — Szczęśliwszy od nich, Heine miał za pole reformatorskiego działania Niemcy, w których filisterstwo nie zasadzało się bynajmniej ani na braku idei, ani na nieprzystępności ich dla ogółu, lecz polegało głównie na złém i niedostatecznym stosowaniu nowych poglądów w życiu. Przejęcie się niemi Heinego, jego niczem nie skrepowana swoboda słowa i oddzielenie się zupełne zarówno od obozu klasycznego jak romantycznego, a wreszcie śmiałość, z jaką stawiał rzecz każdą pod probierczym światłem XIX stulecia, zostały, dzięki panującej w Niemczech tolerancji umysłowej, zrozumiane odrazu, pomimo obrażającej i raniącej formy, jakiej niejednokrotnie używał. Z wykształceniem, uczuciami i głębokością myśli niemieckiej łączył Heine spryt i ruchliwy zapal Francuza. Jeżeli stał się wielkim, to tylko dzięki cudownej swój bystrości, polotowi i swobodzie, połączonej z nadzwyczajną potęgą uczucia i rozległością zastrzonego wzroku. — „Pomimo tego jednak” — kończy Arnold, — „Heine nie był dobrym tłumaczem prądów współczesnych, lecz tylko bardzo zręcznym strzelcem w wojnie o niepodległość rodzaju ludzkiego. Wbrew też wszelkim zarzutom, pozostanie on zawsze postacią bez porównania wyższą od wszystkich poetów europejskich, których sława uświetniła pierwsze ćwierćwiecze po śmierci Goethego.”

IV.

Nie potrzebuję chyba zapewniać, iż w zdaniu o Heffem krytyk o wiele więcej przemawia do mego przekonania, niż niemiecki współrodak poety. Wielka przestrzeń dzieląca dwie narodowości zdaje się wpływać na różnicę w zdaniu, jakkolwiek przyczyną jej jest jedynie odrębny punkt widzenia, z jakiego obaj zoilowie zapatrzą się na autora Atta Trolla. Historyk angielski, śledząc bacznie okiem bieg współczesnej literatury europejskiej, wyprowadza wnioski o doniosłej działalności Heinego według wpływu, jaki on na bieg ten wywarł. Sprawozdawca niemiecki, poświęcający część uwagi źródłom drugorzędnym, zajmuje się głównie pojęciem moralności, narodowości i patriotyzmu; ztąd więc te same fakta ka-
żdy z nich z odrębnego ocenia stanowiska. Nie wierzę bynajmniej, aby niemiecki charakter Heinego miał uleść zepsnuciu w skutek styczności z lekkomyślnym społeczeństwem francuzkiem, nie wierzę na mocy wszystkiego, co już powiedziałem powyżej; nie wierzę, bo łączę się ściśle ze zdaniem ogólnem, które dlatego właśnie uważam go za wielkiego, potężnego i niezwykłego pisarza, iż umiał połączyć tyle humoru i dowcipu z głęboką szczerością uczucia. Nie przeczamy, że w piersi Byrona sjałniej bić musiało serce ludzkie, niż jednak ośmieli się utrzymywać poważnie, że Heine nie miał serca? Ten chyba, kto nie zna jego poezyj, kto nie czytał wzruszającego dyalogu, za pomocą którego, mówiąc pod imieniem Konrada van der Rosen, odsłania duszę całą przed ukochaną ojczyzną i drogim narodem niemieckim, zowiąc go cesarzem swym i władcą.

Nie, to nie prawda, aby bolesć odbita w wierszach Heinego miała być nietylko czytelnym pozorem, dowodem zalotności i kokieteryi! Przeciwnie, niekiedy pod śmiechem lub żartem jego kryje się ból głęboki i prawdziwy. Poeta, w dziele p. t. *Niemcy*, sam opowiada o potrzebie tej humorystycznej powłoki, zbliżając tak często do karykatury. Hillebrand jednak, oddając należną cześć Heinemu, którego nazywa niemieckim *Aryszanosem*, nie brał w rachubę tego wewnętrznego nacisku, stwierdzonego tak silnie przez ostatnie osiem lat życia poety. Wiadomem jest przecież, iż w smutnym tym okresie mógł on w zupełności zastosować do siebie słowa Leopardi'ego: *Jestam już tylko piłem na pół obumarłym, któ-*

ry jeszcze czuje i cierpi. Przykuty przez osiem długich lat do krzesła i strasznem dotknięty kalęcstwem, niezdolny wyjrzed na świat boży, Heine nie przestaje jednak mówić i pisać, a uczucia jego i myśli wyrażają się zawsze pod postacią śmiech bndżącego dółcipu. Rzecz prosta, iż śmiech i żart, w takich zrodzony warunkach, musiał nosić na sobie piętno goryczy; ostatnie téz poczye jego (*Romanzero* i *Lezte Gedichte*) silnie nią są nacechowane. Czy wszakże fakt ten nie dowodzi właśnie, iż ów śmiech, ustawicznie do ust jego przyrośnięty, nie był obmyślanym efektem, lecz wynikiem wrodzonego i nieuniknionego w takich warunkach zapatrywania się na rzączy?

Własna nawet choroba służyła mu często za przedmiot do ucieśnyeh facécyj i żartów. Doktorowi, który go raz zapytał, czy umie świstać, odpowiada.

— Nie mógłbym nawet wygwizdać komedyi Scribego.

Gdy w innym czasie masa osób przychodziła go odwiedzać, rzekł w ciągu rozmowy do jednej z nich:

— Szkoda, że na wystawach nie dają odznaczenia za nędzę i nieszczęście, potrzebowałbym bowiem tylko przedstawić swoje cierpienia, a musieliby mi przyznać medal pierwszjej klasy.

Co do Atta Troll'a, niesłusznem mi się również wydaje, iż z usprząwliwienia i wyjaśnień poety wyciągnięto wniosek, jakoby on sam satyrę tę za zbyt bolesną i raniącą uważał. Trzeba tu nadmienić, że nie było to właściwie tłumaczenie się, lecz odpowiedź na rzucone mu oskarżenia.

Ośmiészywszy go wobec publiczności, nieprzyjaciółom łatwo już było i dogodnie zwrócić przeciw Heineinu własną jego strzałę, wołając:

— Patrzcie, on szydzi ze świątych pojęć ojczyzny, wolności i cnoty, z ideałów, za które my walczymy!

Oskarżenie to; dzięki saměj już doniosłości swěj, stawało się zabawnie niemożliwem.

Atta Troll zaczyna już dziś tracić w Niemczech cechę prawdy rzeczywistej. Szkoła patryotyczna, tak zwanych *Deutschthümer'ów*, która wzięła niegdys za godło: *frisch, frei, fromm und fröhlich*, zaczęła już około 1840 r. upadać z wolna, odkąd Gervinus i inni, wyrzekając się śmieśności mowy i formy, spróbowali tchnąć nowe życie w dądenia narodowe. Nie wyrzekli się oni jednak w gruncie téj samej pychy bezmierněj, tego samego uwielbiania własnej cnoty i p... Gdy ku... dom pochodzenia łacińskiego. Szkoła ta została wreszcie w roku 1866 ostatecznie rozwiązana. Gdy jednak zczasem ukaże się w Niemczech najłżejszy choćby cień filisterskiego patryotyzmu, Atta Troll, ów niedźwiędz-filozof, odżyje i stanie

Wor
181841 / 22881

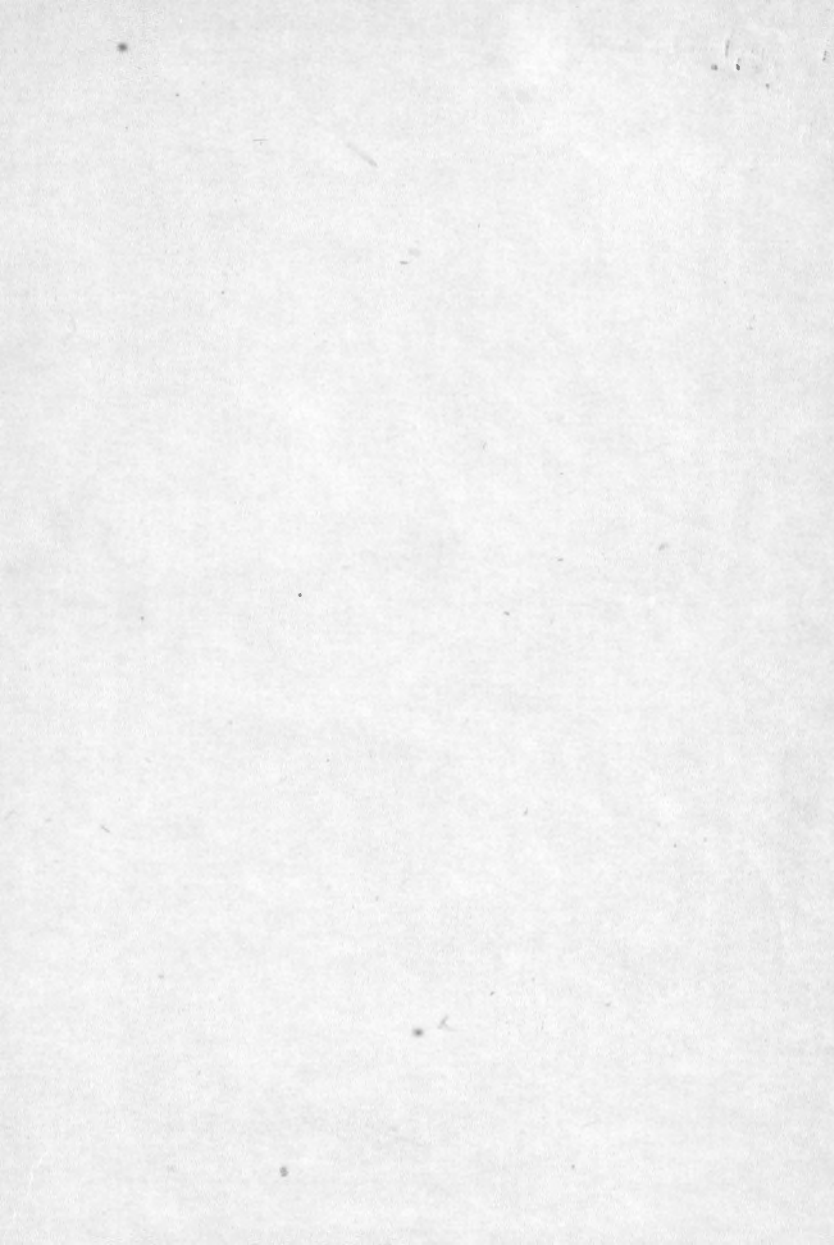
się, jak mu to poeta przepowiedział, nieśmiertelnym. Niezatarła wartość małego tego utworu na dwóch polega rzeczach: 1. Że jest on syntezą ducha, uczuć, zasad i namiętności całego pokolenia, oraz najwybitniejszych jego przewodników, ich błędów, żalów za przeszłością i dążeń na przyszłość; 2. że od czasów Arystofanesa może nie było poety, któryby potrafił złączyć w sposób tak doskonały poezję i satyrę, łzy i śmiech, najgrubszy wreszcie realizm z najczystszeń idealizmem.

Z Chiarini'ego ¹⁾ podał *A. Krzyżanowski*.



¹⁾ Ombre e figure, saggi critici. Roma. 1883.





20000

10000

